

Powrót



Zamek Potockich w Łańcucie.

Teresa Fabijańska-Zurawska

Dnia 23 lipca 1944 roku opuszczał swą ukochaną rezydencję IV ordynat na Łańcucie Alfred hr Potocki udając się via Kraków do Wiednia. Nie myślał wtedy o rychłym powrocie do rodzinnego gniazda, ale był pełen ufności, że Zamek i tym razem ostatnie się zawierusze wojennej, będąc jak zawsze pod opieką „dobrego Anioła Stróża”, jak sam określił. Wszak wraz z matką swą Elżbietą z Radziwiłłów, jeździł do Leżajska, by przed cudownym obrazem jaśniejszej Matki Najświętszej powierzyć Zamek i siebie Jej opiece. Czy wierzyli na prawdę w tę siłę nadprzyrodzoną? Faktem jest, że Zamek ocalał, a właściciele dożyli swoich dni.

Ostatnie miesiące Łańcuckiej egzystencji wypełnione były pracą przy pakowaniu i wysyłaniu rzeczy do Wiednia. W swoim pamiętniku Alfred hr Potocki opisuje niemal dzień po dniu przygotowania, jakich dokonywano w Zamku do końca marca 1944 roku. Należy wspomnieć, że w czasie okupacji sztab wojska niemieckiego zajął część Zamku pozostawiając ograniczoną swobodę gospodarzom.

Pakowanie stało się faktem. Uprzątailiśmy komnatę jedną po drugiej z obrazów, mebli, porcelany, kryształów i całej reszty. Niektóre z nich moi służący opłakiwali łzami, niezdolni do powstrzymywania emocji. To wyglądało jak koniec świata (...) Pamiętam jak stanąłem w pustym pokoju patrząc jak pada śnieg, a oficerowie niemieccy wchodzili i wychodzili z Zamku (...) To już nie było moje ognisko. Przychodzili poinformować mnie, że cały zamek będzie zajęty.

Pracowaliśmy w nocy wśród pomruków bombowców latających tam i z powrotem nad Zamkiem. Niejednokrotnie byłem na nogach aż do świtu doglądając pakowania porcelany i kryształów.

Nasze zasoby wyczerpywały się. Każdego dnia wydawaliśmy 400 posiłków bez liczenia tych, dostarczanych do około 200 uciekinierów i dla naszych biednych na miejscu. Na początku maja 200 uciekinierów dodatkowo przybyło ze Lwowa. Wydałem rozporządzenie by ich karmili aż do momentu, gdy nie zostanie ani jedna kromka chleba.

Zdecydowałem się wysłać do Wiednia zapakowane skrzynie i 10 maja załadowano 75 na dworcu w Łańcucie. Dwa dni później posłano 174 dodatkowo. Widziałem jak odjeżdżały i pytałem siebie czy je jeszcze zobaczę.

W połowie lipca Elżbieta Potocka wyjechała do Bad-Gastein, a następnie do Wiednia. Syn dołączył do niej 1 sierpnia. Zamieszkali w hotelu „Bristol”, gdzie nie byli jedynymi uciekinierami z Polski. Rzeczy łańcuckie, w sumie około 640 skrzyń dojechały do Wiednia i zostały w pałacu Lichtensteinów. W czasie bombardowań niektóre uległy zniszczeniu. Później podzielono je na dwie części. Jedna pojechała do Waduz, druga do Feldkirch w Austrii przy granicy z Lichtensteinem na odpłatne przechowanie w firmie Gebruder Weiss. Naloty zmusiły Potockich do wyjazdu 15 marca 1945 do księstwa Lichtenstein, później do Lozanny w Szwajcarii.

Dziś w Łańcucie wielu ludzi wspomina hrabiego Alfreda z najwyższym szacunkiem, szczególnie gdy w latach okupacji zatrudniał ich w Zamku czy w ogrodach dając możliwość tym samym przeżycia całym rodzinom i uratowania ich od wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Kobiety znajdowały zatrudnienie w szkole hafciarstwa założonej przez hrabinę Romanową lub przygotowaniu obiadów dla

uciekierców i biednych. Zamek zawsze opiekował się nimi i czyniła to osobiście każdorazowo ordynatowa. Tak było i w ten czas niewoli.

Oczywiście wspominają i dobre czasy: polowania, przyjmowanie dostojnych gości, piękne powozy i widowiskowe zaprzęgi. Łańcut był salonem Rzeczypospolitej dla oficjalnych gości rządowych i salonem Europy dla gości Potockich.



Elżbieta Maria Matylda
z Radziwiłłów Potocka,
urodzona w Berlinie,
córka Antoniego ks.
Radziwiłła i Marii de
Castellane, żona
Romana hr Potockiego,
matka Alfreda i
Jerzego.

Elżbieta Maria Matylda urodzona w Berlinie, córka Antoniego ks. Radziwiłła i Marii de Castellane, żona Romana hr Potockiego, matka Alfreda i Jerzego. W rodzinie nazywana była Betką, a przez służbę Excellencją. Jej to właściwie Zamek zawdzięcza dzisiejszy wygląd, modernizację (słynne łazienki, elektryczność, system ogrzewania etc.), założenie obecnych ogrodów w obrębie fortyfikacji i trzydziestohektarowego parku poza fosą. Także wzniesienie nowych, monumentalnych budynków stajni i powozowni. Wraz z mężem swym, poślubionym w Berlinie w 1885 roku z

nadzwyczajną wytrwałością i świadomym programem pracowała nad wspaniałością Łańcuta nie niszcząc tego, co dawne, piękne, historyczne. Szczególnie zachowując wnętrza-komnaty zamkowe księżnej Marszałkowej Izabeli Lubomirskiej słynącej z umiłowania sztuk pięknych, dobrego smaku i zatrudniania najlepszych artystów epoki.

O swoich pierwszych wrażeniach i przebudowie całego zamku pisze Elżbieta hr Potocka we „Wspomnieniach”, które zachowały się w rękopisie w bibliotece muzealnej. Są pisane barwnie, a przy tym z dokładnością dokumentu czasu. Świadczą o jej żywości umysłu, wyobraźni i poczuciu humoru. Pokazują też ogrom pracy włożonej przed z górą stu laty, widocznej dzisiaj.

Wszystko to, by Łańcut błyszczał i promieniował swą kulturą w następnych, nieraz bardzo trudnych ekonomicznie i politycznie latach. Można powiedzieć, że zawsze uczył i radował, inspirował i zachwycił.

Pierwsze lata małżeństwa Elżbieta hr Potocka spędziła z mężem w Wiedniu, gdzie zasłynęła nie tyle urodą co urokiem, elegancją, pięknem toalet i ekwipaży. Później, po śmierci teścia w 1889 roku, gdy została ordynatową, czuła się i była z górą pół wieku panią na Łańcucie.

W ostatnich latach życia dane jej było dzielić wraz z synem los emigrantów. Zmarła w sędziwym wieku 89 lat dnia 13 maja 1950 roku w Lozannie i tam została pochowana na pięknym cmentarzu patrzącym na jezioro Lemman (Genewskie).



Alfred Antoni hr
Potocki, IV ordynat na
Łańcucie.

Jej starszy syn, Alfred Antoni ur. 14 czerwca 1886 roku w Łańcucie, został po śmierci ojca w 1915 roku czwartym ordynatem łańcuckim. Był dziedzicznym członkiem Izby Panów i prezesem krakowskiej „Resursy”. W ostatnich latach życia został kawalerem Krzyża Maltańskiego.

Młodszy syn Elżbiety – Jerzy Józef urodzony w Wiedniu 21 stycznia 1889 roku otrzymał dobra pomorzańskie położone na wschód od Lwowa. Malowniczy renesansowy zamek w Pomorzanach posiadał niegdyś czworoboczny dziedziniec z krużgankami, po którym zostały dwa okazałe skrzydła z narożnymi wieżami i oficyną z późniejszych czasów. Jeszcze dzisiaj podziwiać można szlachetne propozycje i detal architektoniczny wysokiej klasy. Do Pomorza wiedzie przepiękna, szeroka droga przez Złoczów. Wielowiekowy, historyczny zamek był niszczonej najpierw najazdami Tatarów, później innymi wojnami, ale został pięknie odrestaurowany na początku lat trzydziestych przez Jerzego hr Potockiego i jego żonę Susanę Iturregui y Orbegoso, która, jak tradycyjnie każda z pań Potockich, inicjatywą i finansami wsparła do niełatwe i kosztowne przedsięwzięcie. Ta para urodziwych ludzi ślub zawarła w Paryżu w obecności obu matek – wdów, dnia 28 czerwca 1930 roku i na pierwsze lata osiedlili się we Francji nie zapominając o swym tak bardzo włoskim zamku w Pomorzanach. Zauroczona jego wspaniałą architekturą i historią nowa pani domu, szykowna i miła, gospodarna, dobra i zapobiegliwa, wzorowo zajmowała się wszystkim. Władając językiem polskim, którego nauczyła się chętnie, miała dobre kontakty z miejscową ludnością, wśród której prowadziła działalność charytatywną.

Urodziła się w Limie 8 października 1898 roku. Ojcem jej był Juan Manuel Iturregui, matką Susana Obergoso de Iturregui.

Rodzina Iturregui (Yturregui) przybyła z Hiszpanii do Peru w końcu XVIII w. Najbardziej znanym w historii był Juan Manuel Yturregui – dziadek Susany, wielki przyjaciel San Martina, z którym wywalczyli razem niepodległość Peru, w połowie XVIII w. Luis Jose Orbegoso – pradziadek Susany po kądzieli – był marszałkiem i prezydentem Peru.

Jerzy hr Potocki jako młody człowiek służył w wojsku austriackim, co uwiecznił pięknym portretem Wojciech Kossak. Za wolnej Polski, w 1919 roku Jerzy stał na czele polskiej misji wojskowej w Budapeszcie, a w latach 1919-1920 był adiutantem Marszałka Józefa Piłsudskiego, którego uwielbiał z wzajemnością. Następnie wybrany został senatorem z okręgu tarnopolskiego i tę funkcję musiał pozostawić po nominacji go na ambasadora Polski w Turcji. Jak powszechnie wiadomo, Turcja nie uznawała rozbiorów Polski i co roku padało pytanie: „*Gdzie jest poseł z Lechistanu?*”. Odpowiedź brzmiała: „*Nie przybył*”. Jerzy hr Potocki w 1933 roku jako pierwszy po wielu latach mógł ze wzruszeniem wstać i powiedzieć: „*Oto jestem*”.



Jerzy Józef hr Potocki,
młodszy syn Elżbiety i
Romana Potockich.

Stworzenie nowej placówki dyplomatycznej w Ankarze nie było łatwe. Remont zakupionego obiektu był kosztowny, sfinansowali go małżonkowie Potoccy z własnych funduszy rodzinnych. W 1936 roku Jerzy został ambasadorem Polski w Waszyngtonie z równoczesną nominacją na posła przy rządzie Republiki Kubańskiej, co trwało do 14 grudnia. Oboje Susana i Jerzy dużo podróżowali zabierając ze sobą urodzonego w 1932 roku syna Stanisława. Łańcut, Pomorzany, Paryż, Ankara, Waszyngton, Lima. Około 1939 roku Pomorzany wynajął od Potockich ambasador USA w Polsce Anthony Biddl. Sowieci wkraczający do Polski 17 września 1939 otrzymali rozkaz ominięcia i uszanowania tej prywatnej rezydencji, na której wisiała flaga amerykańska. Status nietykalności zachowały Pomorzany także w 1941 roku

gdy Niemcy uderzyły na Rosję. Wówczas jeszcze Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny z Niemcami. W 1944 roku wraz z ofensywą sowiecką na zachód fala dzikiej nienawiści i tutaj sięgnęła. Pomorzany zostały splądrowane, czego nie udało się ukraść, zniszczono. Alfred hr Potocki zdawał sobie sprawę jakie zagrożenie nadchodzi dla Łańcuta.

W czasie wojny Susana hr Potocka organizowała pomoc finansową i żywnościową głównie dla jeńców za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża. Na ten cel w miejscowości Pau we Francji organizowała koncerty charytatywne zapraszając takich muzyków jak Radwan, Małcużyński czy Szing.

Jerzy hr Potocki zaprzyjaźniony z prezydentem Roosveltem zaofiarował mu swoją pomoc w pertraktacjach ze Stalinem. Doskonała znajomość języków, w tym rosyjskiego, oraz Kresów i mentalności sowieckiej mogły być niezwykle przydatne. Niestety został zlekceważony, zrezygnowano z jego propozycji. Był niewątpliwie zdolnym dyplomatą i gdyby nie wojna, życiorys byłby jeszcze ciekawszy.

Po wojnie ofiarowało mu obywatelstwo kilka krajów: Stany Zjednoczone, Kuba, Austria, Peru. Nie zrzekając się polskiego, przyjął obywatelstwo maltańskie zostając ambasadorem Zakonu Kawalerów maltańskich w Limie, gdzie wraz z żoną i synem zamieszkali od 1941 roku.

W działaniach ambasadora Polski wspierał go zawsze brat Alfred chociażby przez wydawane uroczyste przyjęcia w łańcuckim zamku i organizowane ciekawe, pełne emocji polowania. Obaj byli przednimi myśliwymi trzech kontynentów. Dotąd zachowały się w Powozowni Zamkowej w Łańcucie liczne fotografie ze słynnych safari fundowanych przez ordynata łańcuckiego w 1924 i 1926 roku do Sudanu. Obaj również uprawiali sporty takie jak gra w polo czy golfa, z czego słynął Łańcut.



Susana Iturregui y
Orbegoso, żona Jerzego
hr Potockiego.

Obaj bracia pozostawili swoje wspomnienia. Fragmenty książki Alfreda, cytowane na początku, oddają atmosferę grozy przed nadchodzącym frontem sowieckim. Jerzy napisał książkę „Na wojnie i na łowach” – wspomnienia z lat wojny 1914-1916 i kontaktów z naturą podczas licznych polowań. Inne drobne artykuły w „Łowcy” zdradzają człowieka wrażliwego, miłośnika lasu i całej przyrody, znającego obyczaje zwierząt i ptaków, umiającego wsłuchiwać się w życie, rozumieć je i szanować. Jerzy hr Potocki był niewątpliwie postacią interesującą, niezwykłą, godną biografii. Wielka szkoda, że nieznany jest los obecny jego pamiętników oraz ich tłumaczenia dokonanego przez Louise de Villemoran na język francuski.

Na krótko przed śmiercią Jerzy hr Potocki napisał list do Władysława Gomułki z prośbą o zezwolenie mu na przyjazd do Polski, by tu dokonać swego życia. Nie dano mu możliwości nawet krótkiego, „turystycznego” pobytu. Zmarł 20 września 1961 roku w Lozannie, a jego starszy brat, ordynat łańcucki zmarł 30 marca 1958 roku w La Roche-sur-Foron. Obaj mieli po 72 lata. Pochowani zostali u boku ukochanej matki. Susana żyła długo, zmarła w sędziwym wieku 92 lat 19 lutego 1989 roku w Lozannie i tam została pochowana.

Po wielu latach wrócili do Łańcuta, do należnego im miejsca – matka z synami i

synową. Stało się to za sprawą syna Jerzego, Stanisława hr Potockiego i jego żony Rosy z hr Larco de la Fuente, którzy postanowili dopełnić historii i pochować swoich bliskich w rodzinnym mauzoleum pod farą w Łańcucie. Powtórny pogrzeb Potockich w Łańcucie odbył się 20 września 2001 roku.

Gdzie się Ganges toczy



Wanda Dynowska - Śri Umadevi - polska Jogini, ambasadorka kultury polsko-indyjskiej.

Ryszard Sawicki

Wąskie ulice Starego Konstantynopola lśniły zmoczone wiosennym deszczem w świetle ulicznych latarni. Ich lśnienie prześladowało mnie jeszcze wiele miesięcy później, kiedy chodziłem po nagrzanych tropikalnym słońcem ulicach Bombaju. W gorące dni przedmonsunowych miesięcy brakowało mi chłodu wczesnej wiosny,

którą zostawiłem daleko nad Bosforem. A brak ten odczuwałem szczególnie mocno, bo musiałem oszczędzać nie tylko na jedzeniu, ale i na piciu, byłem bowiem uchodźcą w egzotycznym kraju, z którego chciałem jechać dalej. Nie wiedziałem jednak kiedy uda mi się przekroczyć kolejną granicę, czy za miesiąc czy dopiero za rok. Takich jak ja uciekinierów nikt nigdy nie przyjmował z otwartymi rękami.

Uciekinier, uchodźca. Bałem się tych określeń, unikałem wymawiania ich nawet w myśli w ojczystym języku. W języku, którego brzmienie wydawać się musiało wszystkim spotykanym przeze mnie codziennie ludziom równie dziwne jak mnie wydawały się dziwne słowa wypowiedane w hindi czy marathi. Angielskie słowo „refugee” wymawiałem z mniejszym lękiem, bo wydawało mi się neutralne. Brzmiało bardziej bezpiecznie, już choćby z tego powodu, że nie od razu kojarzyło się z takimi słowami jak zesłaniec, więzień. W kontaktach z pracownikami banku, do którego zaglądałem co kilka dni oczekując przekazu pewnej ilości gotówki posługiwałem się angielskim. Tak samo jak w urzędach, gdzie starałem się dowiedzieć o możliwości przedłużenia pobytu.

Próbowałem się dostosować do otoczenia, lecz nie było to wcale łatwe. Zwłaszcza z powodu braku pieniędzy. Nie myślałem wtedy o możliwości zatrudnienia w Indiach. Odwiedzałem jednak takie miejsca jak port w Bombaju i starałem się wypytać marynarzy statków rozmaitych bander o to, czy mógłbym pracować na pokładzie by pokryć koszty podróży. Pracownicy the British Bank of the Middle East odpowiadali mi niezmiennie, że żadnej przesyłki nie otrzymali na moje nazwisko, a ja, rekonwalescent szpitalny, snułem się po zatłoczonym bruku miejskim niemal mdlejąc w upale. Mogłem tylko żałować, że nie udały się projekty Banku Polskiego z 1829 roku, popierane przez rząd Królestwa Polskiego, by otworzyć rynek dla polskiego cynku. Na statku z cynkiem i innymi towarami wyruszył do Indii urzędnik tegoż banku, Władysław Małachowski, ale jego misja nie powiodła się z powodu wybuchu powstania listopadowego. Chodziłem więc po ulicach Bombaju, nie mogąc liczyć na pomoc żadnego zamożnego rodaka aż dochodziłem do granic wytrzymałości i wtedy kupowałem kolejną butelkę wody. Za każdym razem, gdy podchodziłem do kiosku z wodą przypominałem sobie nierówny bruk wąskich ulic w okolicy Błękitnego Meczetu w Stambule i chłód wiosennego deszczu. Jednak nie tylko ten widok stawał mi przed oczami. Także i widok pustyni, przez które przejechałem w drodze przez Iran i Afganistan. Przeciąłem wtedy, zapewne kilkakrotnie, szlak polskich

uciekinierów z Syberii. Tych, którzy z armią polską szli bić się w ogarniętej druga wojną światową Europie i tych, którzy nie mieli sił by udać się gdziekolwiek dalej. Tych, których tysiące znalazły się w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu na ziemi indyjskiej. Było wśród nich czworo moich kuzynów, syberyjskich dzieci, którym dane było w Indiach powrócić do zdrowia po wyjściu z „niehumanitarnej ziemi”. O nich też pamiętałem, podchodząc do kiosku z wodą, a także przechodząc obok restauracji i tanich barów, do których jednak nie mogłem wejść, bo, podobnie jak moi krewni w latach czterdziestych, nie miałem kieszeni wypełnionych rupiami. Indyjskich żebraków podchodzących do mnie z prośbą o jedną rupię wprowadzałem w zdziwienie wyciągając rękę, pół żartem pół serio prosząc o parę paisa.

Choć mój los był tylko trochę podobny do losów moich kuzynów, to jednak trafiałem i w Indiach na ich ślady, jak i na ślady innych Polaków, którzy byli w Indiach kilkadziesiąt lat przede mną. W Bombaju mieszkałem w instytucie muzycznym założonym przez Ślązaka, Geogra Prokscha, którego ojciec prawdopodobnie znał mego pradziadka z lasów trembowelskich. On wyratował mnie przed utratą zdrowia, jeśli nie także i życia, posyłając do szpitala, za który zapłaciłem tyle ile płaciłoby miasto za indyjskiego żebraka (szpital należał do katolickiego zakonu, podobnie jak instytut, i był położony na terenach podarowanych przez księdza Prokscha). Nie znał on wprowadzić moich kuzynów, ale lasy Trembowli, w których jego ojciec był leśniczym, były lasami jego dzieciństwa.



Ryszard Sawicki, Słonie, rys., pastel na tle malowanym gwaszem.

Ksiądz Proksch ułatwił mi spotkanie z panią Hirabai Petit. W bogatej dzielnicy Malabar Hill odszukałem jej mieszkanie pod 27 numerem przy Nepean Sea Road. Byłem u niej parę razy z wizytą, częstowała mnie obiadem i wspaniałymi perskimi ciastkami, których smaku nigdy nie zapomnę. Podobnie jak nie zapomnę smaku brytyjskich biszkoptów, których małe paczuszki kupowałem gdzie tylko je zobaczyłem, gdy dostałem wreszcie przekaz bankowy.

Ksiądz Proksch nie znał dokładnego adresu pani Hiry. Na jednym z placów Malabar Hill, w pobliżu Parsee Towers of Silence, znalazłem jednak bez trudu wielki pomnik z podpisem na tablicy z brązu: „Erected by numerous friends and admirers as a tribute to the memory of their distinguished and philanthropic fellow citizen Nasserwaiji Maneckji Petit, esq. J.P. in appreciation of his excellent virtues and extensive charity, died 2nd Nov. 1891, aged 64 years” (Pomnik wzniesiony przez licznych przyjaciół i admiratorów ku pamięci filantropa i wybitnego obywatela, Nasserwaiji Maneckji Petita, esq. jako wyraz podziwu dla jego wspaniałych zalet i dobroczynności, który

zmarł drugiego listopada 1891 roku w wieku lat 64). Pukając do drzwi kilku mieszkań w sąsiednich kamienicach, dowiedziałem się jaki był adres pani Hiry. Wszedłem do starej, zaniedbanej kamienicy z szerokimi schodami. Na masywnych drzwiach jednego z mieszkań znalazłem kartkę pożółkłego papieru z napisem: „Tibetan Refugees, Maurycy Frydman, H. Petit, Indo-Polish Library” (Uciekinierzy z Tybetu, Maurycy Frydman, H. Petit, Biblioteka Indyjsko-Polska), a poniżej umieszczono jeszcze kilka tybetańskich imion i nazwisk.

Maurycy Frydman (używał też imienia Bharatananda) urodził się w Warszawie w 1901 roku, zmarł tuż przed moim przyjazdem do Indii, w 1976 roku (ja przyjechałem w roku 1977). Do Indii dotarł w 1933 roku, miał pracować jako inżynier przy budowie fabryki przyrządów elektrycznych w Mysore. Budowa fabryki została ukończona w 1934 roku. W tym samym roku spotkał się z Sri Ramanem Maharishim z Tiruvannamalai koło Madrasu. W 1936 roku poznał Gandhiego, a dwa lata później Krishnamurtiego. Zamieszkał u boku Gandhiego w Sevagram koło Wardha. Był zatrudniony we wspólnocie jako projektant urządzeń dla przemysłu, m.in. zaprojektował kołowrotki do urządzeń włókienniczych. Przebywał wtedy w tych samych kręgach, w których przebywała od 1935 roku Wanda Dynowska, późniejsza tłumaczka wielu książek autorów hinduskich na język polski. Olgierd Budrewicz opisuje spotkanie z nim w domu przy ulicy Nepean Sea w swojej książce „Spotkania z Polakami” wydanej w 1969 roku.

Maurycy Frydman, niski, szczupły, siwy mężczyzna, przyjął mnie w swym bombajskim mieszkaniu wypełnionym antycznymi, bogato rzeźbionymi meblami, marmurowymi figurkami, uczonymi księgami,

pisze Budrewicz w „Spotkaniach”. Przypuszczam, że opisuje mieszkanie Hirabai Petit, u której mieszkał Frydman. „Zegar ścienny odzywał się kilkakrotnie w czasie naszej rozmowy”, kontynuuje.

Po mieszkaniu kręciło się mnóstwo ciemnolichych, a bliżej nieokreślonych postaci. Gospodarz przerywał niekiedy opowieść o swym niezwykłym życiu by porozmawiać z kimś przybyłym lub odebrać telefon.

Podczas moich wizyt, po śmierci Frydmana, mieszkanie pani Hiry było puste. Nie było tybetańskiego tłumy, nikt nie przerywał moich rozmów, które odbywały się w zupełnej ciszy. Tylko ścienny zegar wciąż „mówił” tym samym głosem.

Kiedy przychodziłem z wizytą, drzwi z nazwiskami Hirabai Petit i Maurycego Frydmana zapisanymi na pożółkłej kartce otwierała mi stara hinduska służąca. Składała na powitanie ręce i uśmiechając się bardzo serdecznie zapraszała do środka. Podczas pierwszego powitania podałem jej bilet wizytowy, jeden z niewielu, które udało mi się wydrukować za specjalnym pozwoleniem władz w Polsce. Po dłuższej chwili usłyszałem nierówne, z trudem stawiane kroki. W ciemnym korytarzu zjawiała się mała, zgarbiona kobieta o siwych włosach. Jej twarz była jednak prawie zupełnie pozbawiona zmarszczek. Przeszliśmy razem przez pierwszy, duży pokój wypełniony starymi meblami, obrazami, fotografiami i szafami z wielką ilością bibelotów ustawionych na zakurzonych pułkach. Drugi pokój był podobny, lecz lepiej oświetlony, bardziej przestronny. Pani Petit wskazała jedno z krzeseł stojących przy olbrzymim stole, „witam gościa z Polski”, powiedziała po angielsku. Usiedliśmy.

Szybko zorientowałem się, że wymiana zdań nie będzie łatwa. Staruszka próbowała naprzód uruchomić aparat słuchowy, lecz po chwili zrezygnowała z tego, podała mi jeden z grubych zeszytów, które leżały na stole. Miałem zapisywać swoje pytania lub odpowiedzi. Mówiła nieco podniesionym, charakterystycznym dla niedosłyszających osób głosem. Od razu zaczęła mówić o Bibliotece Polsko-Indyjskiej. Powiedziała, że właściwie przestała istnieć po śmierci Maurycego Frydmana, że ona boryka się z trudnościami związanymi z wydaniem ostatniej książki, ale amerykańscy przyjaciele niewiele pomagają, bo jest ich coraz mniej. Odpowiedziałem, że liczę się z możliwością imigracji do Stanów, poprosiła więc bym przekazał kilkanaście listów z prośbą o pomoc. Umówiliśmy się, że przyjdę po nie za kilka dni. Zaprosiła na lunch i obiecała dać jedną z ostatnio wydrukowanych książek.

Na Nepean Sea Road zjawiłem się w piątek o jedenastej. Pani Petit kończyła właśnie przyrządzać sos do makaronu. Stały obydwie ze służącą przy małej kuchence ustawionej w rogu pokoju i kłóciły się o to, co która ma robić. Ja miałem siedzieć przy stole i czytać książkę zawierającą teksty rozmów Maurycego Frydmana z hinduskim guru. Nad głową bezszelestnie obracał się duży wentylator, pani Hira nie dopuszczała do kuchenki służącej, a ta nie chciała jej zostawić samej. Co chwila

pojawiały się nuty zniecierpliwienia w ich głosach, lecz nie było w nich śladu zagniewania. Pani Hira wyszła po coś do spiżarni, wtedy zamieniłem ze służącą kilka zdań na temat panujących upałów. Powiedziała, że tego kwietniowego dnia było ponad trzydzieści stopni, ale do czerwca, kiedy zwykle przychodzą monsuny, jest jeszcze daleko, trzeba zachować cierpliwość. Radziła nie chodzić po nasłonecznionej stronie ulic, co, mimo, że po stronie zacienionej jest zawsze duży tłok, jest znacznie lepszym sposobem poruszania się po indyjskich miastach. Stosowałem się odtąd do jej rady i stwierdziłem, że wymijanie ludzi, przystawanie co krok, a nawet potrącanie przez przechodniów jest mniej uciążliwe niż spacer w słońcu, gdzie kiedyś spacerowali *„tylko szczególnie uparci Anglicy... i wściekłe psy”*, jak powiedziała staruszka (zacytowała popularne powiedzenie z okresu brytyjskiego Raju). Przy obiedzie milczymy, bo nie można przecież jednocześnie jeść i pisać w zeszytach. Potem wracamy do rozmowy o Bibliotece Polsko-Indyjskiej. Pani Hira wręcza mi książkę „Conversations with Sri Nisargadatta Maharaj” przetłumaczoną z marathi przez Maurycego Frydmana a wydrukowaną pod angielskim tytułem „I Am That” (Jestem tym), i każe mi napisać: „from Maurice Frydman”. „Może mam też dodać ‘od Uma Devi?’”, miałem zapytać, ale Pani Hira właśnie podała perskie ciastka, nie umieściłem więc pytania w zeszycie.

Z Wandą Dynowską nie zdążyłem się spotkać. Zmarła w misyjnym szpitalu w Mysore 20 marca 1971 roku. Nie zdążyłem porozmawiać z nią ani o Bibliotece Polsko-Indyjskiej, ani o jej pracy przy ambasadzie polskiej w Bombaju. Nie zapytałem też czy pamięta kilkunastoletniego chłopca z twarzą naznaczoną zmarszczkami, który miał na imię Franciszek, ani o jego dwóch młodszych braci i siostrę. Franciszka Gana i jego rodzeństwo, moich kuzynów, poznałem w latach osiemdziesiątych w Anglii, gdzie dostali się po długiej rekonwalescencji w Indiach. Ich ojciec był przed wojną komisarzem policji w Buczacu, a takich ludzi i ich rodziny Sowietnicy uznali za „szczególnie niebezpiecznych”. Oprócz policjantów byli to także oficerowie, nauczyciele, pisarze, księża, urzędnicy administracji państwowej, działacze polityczni, przedsiębiorcy, kupcy, rzemieślnicy, kolejarze, pocztowcy i leśnicy. Spośród moich krewnych i ich znajomych, bardzo wiele osób należało do tych właśnie grup społecznych. Toteż wielu z nich podzieliło los rodziny Ganów. Byli aresztowani, deportowani, ginęli bez wyroku lub z wyroku opartego na fikcyjnych oskarżeniach. Trafiali do łagrów nad Kołymą, pod Świerdłowskiem i w innych

rejonach „niehumanitarnej ziemi” czyli Kraju Rad.

Po zajęciu Buczacza przez oddziały Armii Czerwonej w 1939 roku komisarz Gan został zamordowany wraz z żoną w swoim domu. Dzieci zostały zabrane z domu, wywiezione na Syberię i umieszczone w oddzielnych obozach. Najstarszy z nich, Franciszek, zdołał sprowadzić rodzeństwo do jednego obozu, dzięki czemu cała czwórka opiekowała się sobą wzajemnie i mogła przetrwać. Wyjechali z Syberii z Armią Andersa. Ponieważ byli jednak zbyt osłabieni pobytem w łagrach i chorobami, musieli naprzód przejść rekonwalescencję. Skierowano je do Indii, gdzie w lepszym klimacie wracali powoli do zdrowia. Pamiętam, że podczas naszych rozmów w Anglii, Franciszek kreślił na kawałku papieru mapę obozów dzieci polskich w Rosji i kierunki deportacji. Pojawiło się na niej mnóstwo punktów od Morza Białego po jezioro Bajkał, a linie oznaczające przemieszczenia prowadziły z północy na południe i południowy-wschód. Znalazłem odpowiednik tej mapy w publikacji pod tytułem „Z Kresów przez Afrykę” (wspomnienia opracowane przez Ryszarda Sławczyńskiego, wydane przez Klub Muzyki i Literatury we Wrocławiu w 2001 roku). Była ona skopiowana z opracowania Ł. Z. Królikowskiego pt. „Skradzione dzieciństwo” (Kraków 1991). Franciszek mówił o sierocińcach w Indiach, ale wspominał też o osiedlach, które powstały w Afryce. W jego opowieści mieszały się więc nazwy miejscowości z różnych stron świata: Samarkanda, Karaganda, Tomsk, Irkuck, Pahlewi, Karaczi, Kolhapur, Mombasa, Masindi. Brzmiały te nazwy i dla mnie nie obco, bo sam przejechałem przez Turcję, Iran, Afganistan i Pakistan w drodze do Indii, a parę lat wcześniej zwiedzałem Taszkient, Samarkandę i Bucharę podczas studenckiej wycieczki. Jednak nie byłem nigdy we Wschodniej Afryce, dotknąłem tylko północnego krańca tego olbrzymiego kontynentu i to po latach, które upłynęły od naszej rozmowy na Wyspach Brytyjskich. Franek został w Anglii wykładowcą jednej z uczelni technicznych, miał żonę i dzieci. Pokazywał mi kolorowe zdjęcia ze szkół i uczelni swoich synów, tak różnych od szkół w jakich uczyły się polskie dzieci w latach czterdziestych w Teheranie i Awhazie, gdzie jedynym podręcznikiem był „Polak w Iranie”.

Franek opowiadał o swoich przeżyciach wielokrotnie. Nie tylko ja byłem jego słuchaczem. Do Anglii dotarły też inne polskie dzieci z Syberii i Indii. Po latach, założyli oni w Londynie Koło Polaków z Indii. W 2000 roku Koło wydało książkę zawierającą kopie dokumentów i wspomnienia z tamtych lat („Polacy w Indiach

1942-1948 w świetle dokumentów i wspomnień”, Londyn, Koło Polaków z Indii, 1942-1948, 2000). O Wandzie Dynowskiej jest tam sporo informacji, podobnych do tych, które ukazały się po jej śmierci w czasopiśmie polskich publikowanych na obczyźnie. Irena Hradyska była sekretarką Dynowskiej w latach 1946-1948. Obie panie spotkały się na obczyźnie, w Indiach, a połączyła je wspólna praca dla ojczyzny. W tym okresie Dynowska, jak pisze jej sekretarka, przejęła wiele obowiązków zlikwidowanego konsulatu polskiego, z którym była związana w okresie wojny. Kira Banasińska, żona konsula Eugeniusza Banasińskiego, pisała o tej przeprowadzce do swego krewnego Onufrego Korewy, że pod koniec 1944 roku wyjechała z mężem do Londynu, gdzie mąż dostał przydział w MSZ, „ale już wszystko się kończyło”. Wyjaśniła też, że podobnie jak wielu innych Polaków, nie czuli się dobrze w brytyjskiej stolicy. Nastroje te podzielał też mój ojciec, który wyjechał z Wysp Brytyjskich do Polski w 1947 ze względu na, jak mówił, „nieznośną atmosferę”. Pani Kira napisała dyplomatycznie w liście do rodziny, że wrócili bo „w Indiach mieli wielu przyjaciół” (list Kiry Banasińskiej z 20 stycznia 1965 roku, wysłany z Indii do Polski, który cytowałem w artykule pod tytułem „Dom na wzgórzu”, Zesłaniec nr 14/2003).



Wanda Dynowska i razem z Maurycym Frydmanem stworzyli Bibliotekę Polsko-Indyjską.

Dynowska i Hradyska umiały ocenić tę atmosferę z dużej odległości, nie próbowali szczęścia tam, gdzie czuć się mogły jak niechciani intruzi. Hradyska napisała w swoim wspomnieniu o Dynowskiej, że po wojnie zajmowały się z Wandą Dynowską „prostowaniem komunistycznych banałów”, co, jak się domyślam, łączyło się z ich działalnością publicystyczną. Tak więc obydwie Polki zajmowały się sprawami narodowymi już po oficjalnym wyjeździe dyplomatów polskich do Londynu. W tym samym artykule Hradyska pisze jednak dużo więcej o wcześniejszej działalności Dynowskiej w Indiach.

Gdy Uma Devi była pochłonięta walką o niepodległość drugiej ojczyzny, gazety przyniosły do Indii hiobową wieść: 'Dziś nad ranem 1 września Niemcy napadły na Polskę, wojna w Europie'. Z miejsca przedzierzgnąwszy się z kobiety w sari w europejską podróżniczkę, Wanda Dynowska ruszyła w drogę do Polski. Gdy dotarła do Rumunii, zastała uchodźców, rozbite jednostki wojskowe, rząd i ludzi, z którymi kiedyś łączyło ją tak wiele w czasach pracy niepodległościowej z Józefem Piłsudskim. Teraz było już po wszystkim. W pierwszym porywie chciała przedrzeć się do Polski. Iść pod prąd tych, co uciekali na Rumunię. Nie udało się. Pierwszy chyba raz w życiu pokonana, wróciła do Indii. Została zatrudniona w dziale propagandy, przysparzając wielu kłopotów pracownikom MSZ. Nie można sobie wyobrazić dowcipniejszej kombinacji, z jednej strony panowie w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach, z minami zapożyczonymi od Edena, pedantyczni, dobrze ułożeni, owijający wszystko w dyplomatyczną bawełnę, traktujący Indusów z pobłażliwą wyższością, zupełnie nie interesujący się kulturą i religią tego kraju, z drugiej strony kobieta depcząca konwenanse bosą stopą w sandałach, odziana w ręcznie tkane samodziały, z czerwoną kropką wymalowaną między brwiami na znak praktykowania hinduizmu, nie dająca się nagiąć do urzędowych godzin, wprowadzająca chaos do szufladek i kartotek, mówiąca wszystko, co na myśli i sercu, bez ogródek. (Wspomnienie Hradyskiej drukowane w londyńskich „Wiadomościach” w 1960 roku).

Muszę przerwać w tym miejscu wywód pani Hradyskiej i dołączyć małe

sprostowanie. Otóż, być może wielu pracowników konsulatu polskiego przyjęło maniery ich brytyjskich kolegów, ale nie wszyscy byli „panami w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach” i nie wszyscy ignorowali hinduskie otoczenie. Jedną z najserdeczniejszych przyjaciółek Kiry Banasińskiej była jedna z córek nizama Hajdarabadu (nizam, to, początkowo, jak podaje Wielka Encyklopedia Powszechna, tytuł zarządców prowincji Dekan w Indiach za panowania dynastii Wielkich Mogołów, potem, od 1724 roku, tytuł uzależnionych od tejże dynastii władców Hajdarabadu). Pani Kira dzieliła z nią przez wiele lat mieszkanie w wielkiej willi na wzgórzu nad Hajdarabadem. Obydwie staruszki do późnej starości szanowały się i rozumiały doskonale. Sam to obserwowałem podczas wizyty w Hyderabadzie. Państwo Banasińscy nie mogliby prowadzić tak szeroko zakrojonej pomocy polskim uchodźcom z Syberii, gdyby nie ich bliskie kontakty z Hindusami.

W pomoc Polakom zaangażowana też była Wanda Dynowska. Wprawdzie z konsulem łączyły ją sprawy służbowe, jednak często dochodziło do starć, a nawet zerwań i rozstań. Hradyska wspomina, że

nie ona była stroną przepraszającą, bo jej kontakty z wysoko postawionymi w świecie induskim osobami były zbyt potrzebne konsulatowi by je wraz z „Umeczką” odrzucić.

Nie chcę wdawać się w dyplomatyczne spory na temat tych kontaktów, oddam więc głos Kirze Banasińskiej, która w swych wspomnieniach zanotowała, że już w październiku 1939 roku zorganizowała w domu spotkanie pań, które zająć się miały organizowaniem pomocy.

Odzew był natychmiastowy. Powstał komitet pań, które zajęły się gromadzeniem wszelkiego rodzaju darów, głównie ubrań, leków i żywności. Dom nasz stał się swoistym karawanserajem, otwartym dla wszystkich grup polskich wojskowych trafiających do Indii z Rosji przez Afganistan. Konieczna też była zgoda władz Indii na przyjęcie przynajmniej sierot. Udało się to osiągnąć dzięki osobistym staraniom moim i Eugeniusza (fragment wspomnień opublikowany w dodatku „Plus Minus”, Rzeczpospolita, 2000).

Wnosić więc należy z tych cytatów, że współpraca wielu osób, także pań z konsulatu, choć nie zawsze harmonijna, była jednak możliwa. Hradyska pisze zresztą nie tylko o konfliktach, ale właśnie o tej współpracy. Z ramienia konsulatu Dynowska objeżdżała Indie z odczytami o Polsce, zbierała dary dla Polskiego Czerwonego Krzyża, wydawała informacyjny biuletyn w języku angielskim, który był serwisem prasowym naświetlającym sytuację kraju pod obydwu okupacjami. Założyła nie tylko Bibliotekę Polsko-Indyjską, ale i Stowarzyszenie Polsko-Indyjskie.

Z przyjazdem do Indii 5,000 zesłańców z Syberii i Kazachstanu, zaczął się dla niej nowy, jeszcze czynniejszy rodzaj życia. Na parę lat trzeba było zapomnieć o medytacjach w aszramach induskich. Żywi ludzie, tylko co zwolnieni katorżnicy, a zwłaszcza dorastająca młodzież oderwali ją od świata mistyki. Im chciała pokazać Indie, z ich głębią myśli filozoficznej, a Indiom odkryć duszę Polski, jej historię, kulturę. Uważała, że oba narody łączy mimo odległości geograficznej nieć podobieństwa. W ciągu pięcioletniego pobytu uchodźców w Indiach była częstym gościem w osiedlach polskich, szczególnie w obozie Valivade koło miejscowości Kolhapur. Na odczytach jej było zawsze przepełnienie (wspomnienie o Dynowskiej, pióra Hradyskiej, publikowane w londyńskich „Wiadomościach” w 1960 roku).

U jej boku i pod jej wpływem dorastało kilkoro ciekawych ludzi, choćby Danuta Irena Bieńkowska, Bogdan Czaykowski i Jerzy Krzysztoń, autor ‘Opowiadań indyjskich’ oraz dwu powieści „zesłańczo-wolnościowych” zatytułowanych „Wielbłąd na stepie” i „Krzyż Południa”. Akcja pierwszej dzieje się w latach 1940-1942 na terenach Kazachstanu i Uzbekistanu, drugiej zaś w latach 1942-1944 w Persji. W obu utworach autor wykorzystuje osobiste doświadczenia i wspomnienia z tamtych lat, których był świadkiem jako dorastający chłopiec. Daje opis zesłańczych dziejów, losów rzesz Polaków zagnanych przez sowieckie władze w dalekie azjatyckie strony, ich trudnych przeżyć, dramatycznych doświadczeń, upartych nadziei (o tych dwóch książkach przypomniał mi prof. Antoni Kuczyński).

Przyjazd Dynowskiej do obozu oznaczał ożywienie życia kulturalnego, kontrowersje, „kij w mrowisku”. Być może przypominała rodakom o tym, że nie oni pierwsi przybyli z Polski do Indii. Może mówiła nie tylko o Małachowskim, ale i o Krzysztofie Pawłowskim, który wziął udział w portugalskiej wyprawie do Indii w 1596 roku. I o

Pawle Palczewskim, który czynił „*wielkie peregrynacje po Indii orientalnej i occidentalnej*”, o czym wspomina w swej „*Kolędzie moskiewskiej*” wydanej w 1610 roku. Jan Kochanowski napisał wiersz pod tytułem „*Nagrobek Kretkowskiego*” i podał, że ten kasztelan brzesko-kujawski i gnieźnieński studiował w Padwie, a za Zygmunta Augusta posłował do sułtana tureckiego i był „*gdzie się Ganges toczy*”. Maciej Sarbiewski uczcił też wierszem wyjazd do Indii jezuitę Andrzeja Rudominy. W 1736 roku na misję do Malabaru wyruszył z Polski Mikołaj Szostak i został po latach biskupem Werapuli. W książce „*Historia de Goa*” de Saldhana wspomina o Polaku, który walczył przeciw oddziałom portugalskim w obronie fortu Diu pod imieniem Mustafa Khan. Dostał się do niewoli, pracował przy budowie portugalskich fortów i był znany pod imieniem Gaspar da Gama.



Ryszard Sawicki, India Varanasi, rys, pastel na tle malowanym gwaszem.

Dynowska chciała przybliżyć polskim uchodźcom kulturę Indii. Rozporządzając drobnymi tylko funduszami zebrała na wycieczkę krajoznawczą po Indiach kilkadziesiąt dziewcząt i chłopców. Objechali spory szmat Indii, od Maharasztry, w której był położony obóz, po Cape Comorin, tańcząc i śpiewając w strojach narodowych, zbierając z przedstawień pieniądze wystarczające na przeżycie od postoju do postoju. Pomyśleć tylko jaką energię miała ta już wtedy blisko sześćdziesięcioletnia kobieta”, pisała Irena Jeziorkowska, która spotkała Dynowską w Londynie w 1964 roku. Dynowska zjeżdżała z odczytami o walczącej Polsce prawie całe Indie, dodała Jeziorkowska (Irena Jeziorkowska, „Biblioteka polsko-indyjska”, Wiadomości 1964). Podnosiła też rodaków na duchu, wielu chorym ułatwiała dotarcie do lekarzy i do szpitali. Przynosiła ze sobą uśmiech, miłość i niezapomnianą atmosferę. W swojej książce „All for Freedom” (Wszyscy dla wolności) tłumaczyła hinduskiemu czytelnikom skomplikowane sprawy związane z powstaniem warszawskim.

Po wojnie, jak pisze Hradyska, kiedy Indie odzyskały niepodległość, a w Jałcie przypieczętowano nowy zabór Polski, Dynowska współpracowała nie tylko ze swoją sekretarką, lecz i z Hariszczandrą Bhatem, zatrudnionym wcześniej w polskim konsulacie, pośmiertnie uznanym za jednego z największych poetów hinduskich. W tym też okresie zajmowała się Biblioteką Polsko-Indyjską. Od 1944 do 1971 roku zostało opublikowanych 127 pozycji w ramach biblioteki. Jednak i wtedy angażowała się w prace społeczne, podobnie jak w Polsce przed wojną i w czasie wojny oraz w Indiach do śmierci Gandhiego.

W 1960 roku, gdy wojska chińskie załapały Tybet i tysiące Tybetańczyków wraz z Dalaj-Lamą uchodzić musiało z Lassy, Dynowska poświęciła się pracy dla uchodźców tybetańskich. Pracuje w Dharmsali w otoczeniu Dalaj-Lamy, potem zostaje przełożoną ochronki dla Tybetańczyków w Bylacupe, sto kilometrów od Mysore. Postawa Hindusów po śmierci Gandhiego głęboko ją rozczarowała, przyjęła więc buddyzm i złożyła śluby zakonne. Wieloletni wysiłek nadwątlił jednak jej zdrowie. Znalazła się w internacie sióstr Nimala Convent w Mysore. Odwiedził ją tam polski ksiądz, Marian Batogowski, wychowawca chłopców Boys Home w Mysore. Wysłuchał spowiedzi, udzielił ostatniego namaszczenia i pierwszej komunii. Zapisał wtedy:

„Jeśli kiedykolwiek mogłyby powstać zastrzeżenia natury formalno-prawnej na temat jej powiązań z teozofią i buddyzmem, odpowiedź będę miał jasną i pełną świadomości, iż jeśli podobna postawa i dyspozycja była w całej masie nas, kapłanów i katolików, których bez oporów przyjmujemy i udzielamy sakramentów świętych – bylibyśmy społeczeństwem pięknym i świętym; wierzę, że spełniło się jedno z zaskakujących misterii Bożej dobroci i miłosierdzia” (cytat pochodzi z noty biograficznej opublikowanej we wspomnianej już książce „Polacy w Indiach”). Dynowska wróciła przed śmiercią do religii katolickiej. *„Krańcowa jej natura nie mogła w niczym znaleźć umiarkowania”*, napisała Hradyska na zakończenie swego artykułu. Tego, który rozpoczęła od zdania:

Była tak barwna jak te kolorowe sari okrywające ją przez kilkadziesiąt lat, od chwili gdy wyjechawszy z Polski postanowiła resztę życia spędzić w Indiach.

Sądzę, że jej młodość była tak samo kolorowa jak późniejsze lata. Urodziła się w Petersburgu. Dzieciństwo i młodość spędziła nad jeziorem Istal w polskich Inflantach, wśród przyrody, której umiłowanie graniczyło z kultem. Matka Wandy, Helena z Sokołowskich, wprowadziła córkę w świat duchów przyrody, a sama uchodziła za jasnovidzącą. Matka opowiadała dziecku nie tylko o roślinach leśnych lecz i o elfach i skrzatach. Pokój dziecinny Wandy był wypełniony kłosami zbóż i traw, kwiatami i nasionami kwiatów, gałęziami i zasuszonymi liśćmi. W otwartym domu rodziców w Istalsno skupiało się towarzystwo pisarzy, malarzy i polityków. Tam poznała Tadeusza Micińskiego z Warszawskiego Towarzystwa Mistycznego i odtąd datuje się jej zainteresowanie mistycyzmem. Z wybuchem wojny w 1914 roku wyjechała z matką do Jałty, odwiedziła Moskwę. W 1919 przyjechała do Warszawy i nawiązała kontakt z członkami Towarzystwa. Już wtedy zajmuje się pracą redakcyjną, redaguje czasopismo „Myśl teozoficzna”, a później „Biuletyn teozoficzny”. Tłumaczy też książkę Krishnamurtiego „At the Feet of the Master”. Wszystkim pracom oddaje się z wielkim zaangażowaniem, sprzedawała nawet swą biżuterię by móc wyjechać do Paryża na spotkanie z Annie Besant i Krishnamurtim. Studiowała w Krakowie, Lozannie i Paryżu. Podczas przewrotu w 1926 roku była kurierką marszałka Józefa Piłsudskiego, a jej poglądy życiowe i pisarstwo kształtował profesor Limanowski.

O życiu prywatnym Dynowskiej niewiele jednak wiadomo. Kazimierz Tokarski twierdzi, że miała narzeczonego imieniem Szczęsny, który zginął w potyczce z wojskami sowieckimi pod Baranowiczami w 1920 roku. Podobno bardzo odczuła tę śmierć i dlatego pozostała samotną osobą przez resztę życia. Choć nie spotkałem się z Wandą Dynowską podczas podróży indyjskich, jej obecność w Bombaju i innych miastach wydawała mi się uchwytana. I nie tylko w Indiach. Myślałem o jej pracy już wtedy, gdy z kuzynem Franciszkiem i jego rodzeństwem rozmawialiśmy w Anglii o ich cudownym niemal uratowaniu z bolszewickiej katorgi. Książki, które tłumaczyła i kolportowała, docierały do Polski nawet przed moim wyjazdem z kraju w 1977 roku.

Kiedy stanąłem pod drzwiami domu przy Nepean Sea Road, pomyślałem o niej raz jeszcze. Chodziłem po Bombaju po jej śladach, a nawet i w Hyderabadzie, patrząc na pogrążoną w lekturze Koranu córkę nizama, przyjaciółkę Kiry Banasińskiej, wydawało mi się, że widzę postać Dynowskiej pochyloną nad stronami Bhagavad Gity.

**Takie piękne życie. Portret
Wojciecha Kilara.**



Wojciech Kilar, fot. Andrzej Grygiel, PAP.

Barbara Gruszka-Zych

Fragment książki „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara” Wyd. Niecałe 2015.

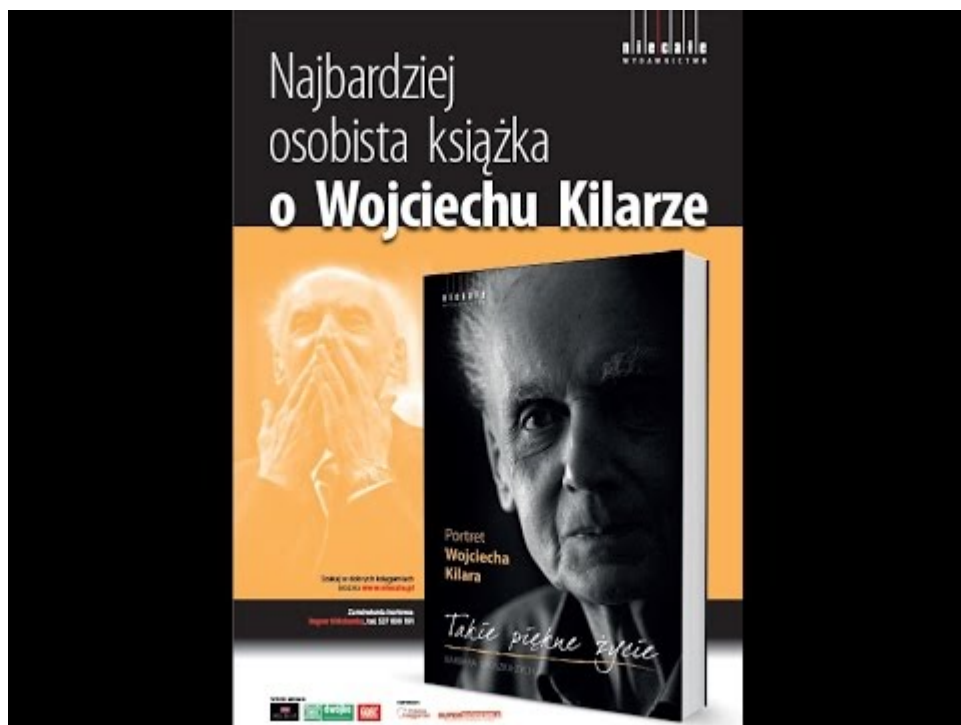
Czy ty nigdy nie tęskniłeś za miłością? – pyta Wiktora, bohatera „Pani z Wilka” Jarosława Iwaszkiewicza, jego doświadczony przez życie wujek.

Wojciech Kilar nie musiał tęsknić za miłością. On ją miał. Kiedy przez sześć kolejnych Wigilii po śmierci ukochanej żony Barbary dzwoniłam do niego z życzeniami, odbierał telefon, witając mnie wcale nie smutnym głosem. Na koniec pytałam: – Jest pan w domu sam? Ale nauczona jego wcześniejszymi odpowiedziami, natychmiast się poprawiałam: „To znaczy, z żoną” . – Tak, z żoną – słyszałam, jak uśmiechał się do słuchawki i już wiedziałam, że był gdzieś na swoim Mont Blanc, skąd lepiej widać tych, którzy już odeszli. W minionym roku wjechałam kolejką

pierwszy raz w życiu na Aiguille du Midi, szczyt położony tuż pod Mont Blanc, i stąd się wzięło to porównanie. Tam, na wysokościach, słysząc było, jak młyny czasu skrupulatnie miały każdą sekundę, strząsając okruchy w dół. Octavio Paz w książce *Podwójny płomień. Miłość i erotyzm* napisał: „Każda miłość jest nieszczęśliwa, bo jej tworzywem jest czas, który upływa”. Ale też dopowiedział krzepiąco: „Miłość jest intensywnością i dlatego rozciąga czas: wydłuża minuty w stulecia”.

Miłość Wojciecha Kilara do ukochanej Basi trwała już w tym rozciągniętym w nieskończoność czasie wiecznym, zawieszonym ponad szczytami doczesnych miłości.

- Od czasu jej śmierci najchętniej siedzę w domu - powiedział mi. - Idę spać o trzeciej, czwartej rano, wstaję dopiero o jedenastej. Chyba że muszę załatwić coś ważnego. Tu wszystko jest takie jak za jej życia, tu jest wręcz dotykalna. Podpowiada mi nawet poprzez znaki. Nie jakieś mistyczne, ale takie dorady „z góry”, co mam na przykład w danej chwili zrobić. Kiedy mam problemy z rozwiązaniem w jakiejś powstającej kompozycji, a żona mi się przyśni, rano odnajduję właściwy trop. Wielu ma podobne doświadczenia ze swoimi zmarłymi. Wiem, że pracy twórczej oczekuje ode mnie również teraz, często z nią rozmawiam, odwiedzam jej grób - zwyczajnie wierzę w świętych obcowanie.



Wojtek żył dzięki Basi.

Kiedy Kilar za dużo pił, sama przestała całkowicie używać alkoholu. Za najcenniejszy przedmiot w domu Wojciech Kilar uważał stare sito. Wygięte, z popękanego plastiku. Traktował je jak relikwię, bo pamiętało dotknięcie rąk ukochanej Basi. Ich miłość przetrwała burzliwe okresy w życiu kompozytora, jego pijaństwo, wyjazdy do Ameryki. I ciężką chorobę żony, gdy z pięknej kobiety zmieniała się w staruszkę.

Nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy pani Basia poruszała się na wózku, rzucało się w oczy niesamowite oddanie małżonków. Starali się bez powodu nie oddalać od siebie ani na chwilę. Wydaje się, że pan Wojciech mógłby wtedy powtórzyć za starym Miguelem de Unamuno przejmujące słowa o ukochanej: „Nie czuję już nic, gdy dotykam nóg mojej żony, ale kiedy ją te nogi bolą, bolą mnie też moje”. *

– Widzę, jacy nieszczęśliwi są ludzie pozbawieni miłości – powiedział mi kiedyś. – Nawet nie wiedzą, co tracą. Miłość to największy dar, a gdy się kocha, to też się cierpi. Miłość do mojej żony to największa łaska, jaką dostałem od Boga.

Razem z tą łaską przyjmował na siebie ciężar jej bólów, chorób, cierpienia, które niesione przez ich dwoje, wydawało się odrobinę mniejsze. Ona jak mogła pomagała mu funkcjonować społecznie. Pod koniec życia neuropatia nie pozwalała jej nawet podnieść słuchawki telefonu. Ale wcześniej przez lata ciepłym głosem witała w imieniu męża dzwoniących i zwykle znajdowała czas na krótką rozmowę. Na przykład któregoś dnia wyjaśniła mi, że pana Wojciecha dopadły związane ze zmianą pogody zawroty głowy i odpoczywa w łóżku, ale radziła, żebym zatelefonowała nazajutrz.



Wojciech Kilar z żoną Basią (po prawej) i autorką Barbarą Gruszką-Zych, fot. arch. BGZ.

Lubili trzymać się za ręce

- Oni nie mogli bez siebie żyć - mówi doktor Jacek Bera. - Wojtek starał się robić wszystko, co było najlepsze dla Basi. Kiedyś przyszliśmy do niej na urodziny. Na stole leżał talerz z pokrojonym w kostkę chlebem ułożonym przez Wojtkę w kształt serca. Jej już było trudno gryźć i w ten sposób chciał ułatwić jej posiłek. Ich życie składało się z takich drobnych gestów czułości.

Pod koniec naszego pierwszego spotkania w ich domu poprosiłam o wspólne zdjęcie z kompozytorem. Zgodził się na jedno, na którym stoimy obok siebie, ale do kolejnego zaprosił żonę. Nie chciał być na nim sam, przywołał ją z drugiego pokoju, ubraną w błękitną sukienkę. Kiedy oglądam tę fotografię, wydaje mi się, że wyraża jego stosunek do ukochanej. Pan Wojciech stoi w pewnej odległości ode mnie, za to

lekko przytulony do żony i delikatnie trzyma jej dłoń, jakby wyszli na pierwszy wspólny spacer. Widać, że wie, jakie cenne jest świętowanie miłości każdym gestem. To, że lubili trzymać się za ręce, można dostrzec też na innych fotografiach. Ani przez moment nie chcieli zapominać, że ich uczucie stale musi być młode. To ona, trzymając go za rękę, wiodła go przez zakręty życia, wyprowadzając na prostą.

Pan Wojciech, opowiadając mi o filmach, które go poraziły wyłącznie obrazem, wymienił na pierwszym miejscu „Lawrence’a z Arabii” Davida Leana: – Jest tam niesamowity fragment, kiedy kamera na długo zatrzymuje się na widoku pustyni, a dopiero potem, gdzieś na horyzoncie, pojawia się mały punkcik, postać, która zbliża się, rośnie.

Kiedy stwierdziłam, że ta osoba, która z każdym dniem staje się bliższa może być metaforą jego żony, potwierdził: – Doceniałem ją za życia, ale jeszcze bardziej z dzisiejszej perspektywy.

Nasza miłość była jak skała

Poznali się w 1954 w Katowicach. Basia, urodzona w Warszawie, mieszkała w stolicy Górnego Śląska z mamą, dziadkami i jedną z sióstr. Ojca straciła w Oświęcimiu, kiedy jeszcze była małą dziewczynką.

– Gdy się spotkaliśmy, miałem 22 lata, byłem już na roku dyplomowym Akademii Muzycznej, a ona miała 18 lat i była w klasie maturalnej – opowiadał. – To był natychmiastowy piorun, który trafił Michaela Corleone w „Ojcu chrzestnym” Coppoli. Mignęła mi gdzieś na schodach dzisiejszej Akademii Muzycznej w Katowicach [wtedy na parterze budynku mieściło się Liceum Muzyczne, a na piętrze – Akademia – przyp. autorki]. Przydarzyło mi się to nie jak jemu, wśród spalonych upałem sycylijskich pól, tylko na zakręcie szkolnych schodów. Tak sobie czasem myślę, że te kilka sekund lub minut nadało bieg mojemu życiu, które mogłoby potoczyć się w zupełnie innym kierunku, gdybym poznał osobę o innych poglądach na świat. Gdybym wtedy tam nie przechodził, może Basia nigdy by mi nie wpadła w oko. Już w pierwszej chwili poczułem, że jesteśmy stworzeni dla siebie, jak się to banalnie mówi.

Potem – ale to są sprawy bardzo osobiste – jeszcze przez jakiś czas nie byliśmy

razem. Zdarzały nam się chwile trudne przed naszym późnym ślubem, bo byłem już wtedy w wieku Chrystusowym. Nasz związek, perspektywa, że będziemy razem, nie była pewna. Sporo się wtedy wycierpiałem. Ale jestem Bogu za te ciężkie momenty wdzięczny, bo dzięki nim potem układało nam się tylko lepiej. Może przez te doświadczenia w następnych latach nasza miłość była jak skała. W młodości miałem okres zabawowy – w Paryżu i po powrocie z niego. Ale to tak miało być, bo dzięki temu poznałem dwie różne odsłony życia. Za nic nigdy nie zlorzeczyłem Bogu, tylko starałem się zrozumieć Jego logikę.

Znali się dwanaście lat, zanim w kwietniu 1966 wzięli ślub w katedrze pw. Chrystusa Króla w Katowicach. Z tego dnia, oprócz radości, że przed Bogiem przysięgli sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską, zostało mu wspomnienie ostatniego spotkania z ważnym dla nich obojga dziadkiem żony, Andrzejem Bajdą, który był też dziadkiem aktora Bogumiła Kobieli i ważną postacią powojennych Katowic. W rodzinie nazywano go „dziadeczkiem”, a jego portret wisi na ścianie domu w Tenczyнку. – Miał wówczas 92 lata – wspominał – i leżał chory w szpitalu. Zaraz po ceremonii ślubnej pojechaliśmy go odwiedzić. Pamiętam, że uścisnął mnie szczególnie mocno, moją Basię również, ale mnie jakoś tak w pierwszej kolejności. Bardzo się cieszył z naszego ślubu. Wygląda na to, że na nas czekał, bo gdy wróciliśmy do gości, dotarła do nas wiadomość, że kilka minut później zmarł.



Wojciech Kilar i Barbara Gruszka-Zych, fot. ach. BGZ.

Bez przerwy do niej telefonował

W wywiadzie do gazety parafialnej „U Jezusa i Maryi”, który przeprowadziła z nim Krystyna Kajdan, jego współparafianka, dyrektorka Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”, opowiadał: – Byliśmy dojrzałymi, by podjąć wspólne życie, które przez ponad czterdzieści lat było bardzo szczęśliwe, bez najmniejszych konfliktów; można powiedzieć, że było pełne cudownych dni, przeżytych w ogromnej jedności. Moją żonę cechowała wzruszająca ufność i całkowity brak podejrzliwości.

Tworzyli tak zgraną parę, że nikogo z bliskich nie zdziwiło, kiedy trzynastcie lat przed śmiercią pana Wojciecha obydwójce małżonkowie stracili słuch w tym samym, lewym uchu. Obserwując ich, każdy był pewien, że rozumieją się bez słów.

Kiedy jeszcze była zdrowa, jeździli zwykle razem, ale w dłuższe podróże, do Ameryki czy Australii, wybierał się sam. Wtedy nie można się było dodzwonić do jego żony, ani na komórkę, ani na telefon stacjonarny, bo bez przerwy do niej telefonował,

informując o każdym kroku. W tamtych czasach koszty rozmów z zagranicy były duże. Musieli sobie opowiadać, co im się wydarzyło i pewnie radzić się siebie. Choć on chlubił się tym, że Basia go nie pouczała, nie ustawiała życiowo. – Nie strofowała mnie, nie prawila morałów, ani razu mnie nie napomniała – opisywał żonę. – Nigdy na nic nie zwracała mi uwagi, nie mówiła „nie rób tego, czy tamtego”, tylko dawała własny przykład. A to jest najskuteczniejsze. To był jeden z najbardziej wyrazistych przykładów – świadectwo jej życia. Widziałem, jak żyje, i nie mogłem wobec tego pozostać obojętny. Kiedy za dużo pił, sama przestała całkowicie używać alkoholu. – Gdy widziała, że wolę zaglądać do kościoła, kiedy nie było tam ludzi, bo wtedy lepiej udawało mi się skupić, jeszcze gorliwiej chodziła na Msze św. i modliła się w mojej intencji – mówił mi. – Tak jak wszystkie najcenniejsze łaski Boże przychodzą do nas przez kobiety, tak i te przyszły do mnie przez moją Basię.

– Swoją codzienną postawą i przykładem takiej wprost promieniującej świętości – nie boję się użyć tego słowa – nawracała wszystkich wokół, ale przede wszystkim mnie – opowiadał Krystynie Kajdan. – Zawsze byłem człowiekiem wierzącym, lecz przez wiele lat byłem „katolikiem, ale...”. Szczęśliwie zostałem obdarzony jednym z darów Ducha Świętego, a mianowicie bojaźnią Bożą. Zawsze czułem, że Ktoś na mnie patrzy i bałem się tego Oka, natomiast moja wiara była bardziej kontemplacyjna. Słodycz płynącą ze wspólnoty i dyscypliny, jeśli chodzi o sakramenty, zawdzięczam właśnie żonie, która sama chodziła na niedzielne Msze św. i obserwowała ten mój „katolicyzm, ale...”. Później uczestniczyliśmy już w nich razem i to było cudowne.

Najważniejsza jest miłość do żony

– Basia była sztywą związku i umiejętnie potrafiła kręcić głową męża – uważa doktor Jacek Bera.

– Wojtek żył dzięki Basi – mówi Elżbieta Grocholska-Zanussi. – Na początku mieli trudne przejścia z powodu jego picia, ale ona odtworzyła w nim człowieka. Ze swoją łagodnością, wyrozumiałością była dla niego życiowym zabezpieczeniem. Kiedy został abstynentem, lubili siedzieć razem w domu, żeby, wychodząc na imprezy, gdzie lała się wódka, nie kusić licha. Z czasem było im tak ze sobą dobrze, że reszta świata mogłaby nie istnieć.

– Zapamiętałam ich jako piękną, zakochaną parę, która na szarej ulicy Warszawskiej

w Katowicach wyglądała nieziemsko – opowiada Anna Sekudewicz-Rączaszek. – To był początek lat sześćdziesiątych. Ona, wysoka, szczupła brunetka o zielonych oczach, w rockandrollowej spódnicy w kolorowe paski i modnym wtedy obcisłym sweterku, on wysoki, szczupły, elegancki. Do dziś widzę, jak idą ulicą Warszawską, trzymając się za ręce, jakby zjawili się tu z innego, lepszego świata.

Żona pana Wojciecha uczyła mojego brata Witka gry na fortepianie w Ognisku Muzycznym im. Siliwskiego. Ja chodziłam tam na zajęcia taneczne. Poznałam kompozytora już wcześniej, przez moją mamę Barbarę. W Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach była asystentką prof. Markiewiczówny, która uczyła też pana Wojciecha. Jako mała dziewczynka często spotykałam go na koncertach. Kiedy przyjeżdżał swoim renault, żeby po zajęciach odebrać żonę, mój brat biegł i przyklejał nos do szyby jego samochodu, który był wyjątkowy, bo zagraniczny. Wyglądali na bardzo dobre małżeństwo, a po latach, kiedy odwiedzałam ich przy okazji nagrań do swojej audycji, to się potwierdziło. Kiedyś zapytałam pana Wojciecha, co jest dla niego w życiu najważniejsze, uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem: „Pani myśli, że moja muzyka? Nie, najważniejsza jest miłość do żony”.



Wojciech Kilar i Barbara Gruszka-Zych, fot. ach. BGZ.

Barbara Gruszka-Zych

Wojciechowi Kilarowi (fragmenty)

„Życie jest bowiem czymś więcej niż pokarm, a ciało niż odzienie” św. Łukasz 23, 12

śmierć odjechany kawałek

nie do zagwizdania

to ona gwiżdże nam na nosie

teraz wynosi się nad życie

zamiast klucza do drzwi

czarny klucz wiolinowy

wynoście się krzyczy wszystko

co nas tu zatrzymuje

i wynoszą z nas jeszcze jeden ocalony dzień

zwykle w markowej koszuli Hugo Bossa

teraz w marki ziemia

na tej najniższej półce

czeka na nas czarna

zawsze gotowa do przebrania

teraz tylko zdjęcia rentgenowskie

i te z wakacji pamiętają ciało

niosą tę pamięć

na swoich zimnych plecach

jak trumnę

nie wiem gdzie jest ta głowa
na której żaden włos już nie liczony
włosy kto je głaska przed spaleniem
czerwone palce płomieni przeczesują ciało

w wielkim domu patrzył przez wideo-domofon na ulicę
teraz ulica patrzy że nie ma jednego pana
nie czuje jego zapachu nie słyszy skrzypienia butów
z nosem przy chodniku tropi jego ślady tak jak opuszczona
muzyka szuka swojego pana a tu pan u Pana

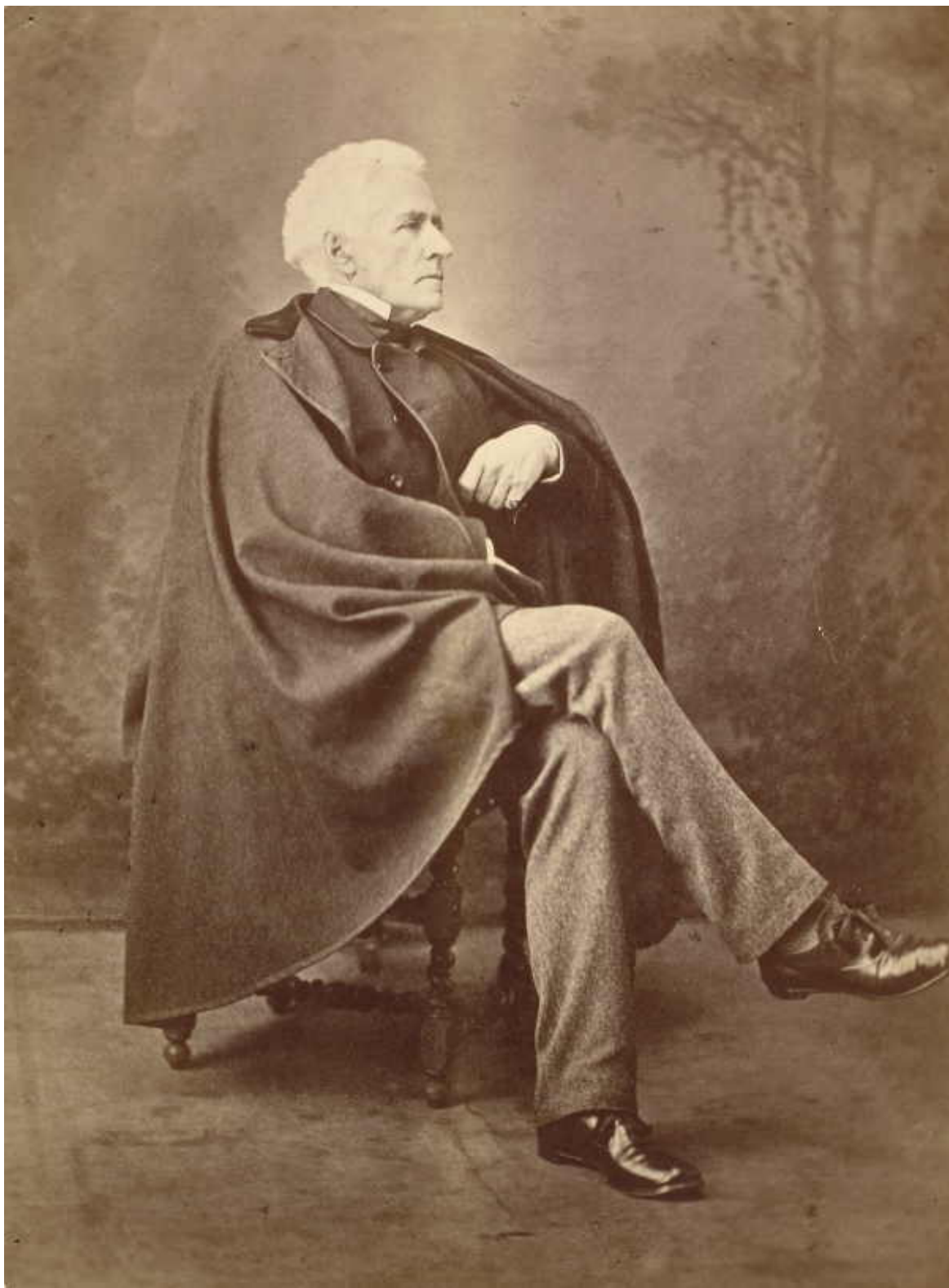
nie widziałam jaka muzyka za nim stoi
tak dobrze się chowała kiedy otwierał drzwi
schylał głowę nad moją białą dłońią
pomagał zawiesić płaszcz teraz zawiesili nekrolog
na wejściowej furtce schylam przed nim głowę

wcisnął się jak czarnoksiężnik do urny
dobry żart
jak można się tak skurczyć

*z przystojnego mężczyzny w kilka garści prochu
trzeba wziąć się w garść myślą idący w kondukcje*

*wie pani wie pani
proszę pana nic nie wiem
o pana śmierci
nie znam jej nawet z rozmowy
dopuszcza do niej tylko jednego*

**Paweł Edmund Strzelecki - postać
fikcyjna czy realny człowiek?**



Paweł Edmund Strzelecki

Lech Krzysztof Paszkowski

Prawda nie jest nigdy niewinna i rzadko bywa prosta.

Sir Paweł Edmund de Strzelecki jest najbardziej znanym Polakiem na kartach australijskiej historii w XIX wieku, wśród kilku mniejszych badaczy urodzonych w Polsce. Istotnie w wielu kręgach uważa się, że jego sława oparta jest jedynie na jego osiągnięciach jako odkrywcy. A jednak te osiągnięcia, interesujące i ważne jako takie, nie należą do najważniejszych w Australii dokonań w zakresie odkryć terytorialnych. Jego specjalne osiągnięcie w „eksploracji”, raczej plasuje się na polu wiedzy naukowej odnoszącej się do Australii, będąc wkładem całkowicie oryginalnym i wszechstronnym. Odkrywczość Strzeleckiego ma wiele płaszczyzn, a każda z nich jest niezwykle interesująca, niezależnie od tego, czy jego wnioski zagadają się z poglądami późniejszymi. Niestety jednak, jest on trudnym obiektem dla biografów. Łatwiej byłoby napisać biografię innego odkrywcy-obcokrajowca, takiego jak Ludwig Leichhardt albo Mikołaj Mikłucho-Makłaj, ponieważ mamy ich dzienniki. Dziennik Strzeleckiego, zatytułowany „Mon Journal” i pisany po francusku, zaginął. Zaledwie kilka stron tego dziennika zachowało się w postaci przypisów do jego „Opisu fizycznego Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena”. Jego osobista korespondencja oraz dokumenty zostały spalone po jego śmierci. Jego listy wysyłane do Polski nie przetrwały I Wojny Światowej, z wyjątkiem kilku stron. Mając więc zaledwie strzępki dokumentacji, napisanie satysfakcjonującej biografii Strzeleckiego jest niemożliwe. Można zaledwie podjąć próbę zrekonstruowania ciągu faktów w ramach okresu jego życia. (...)

28 września 1840 roku Sir George Gipps pisał do lorda Russella:

Z zadowoleniem przesyłam niniejszym Waszej Lordowskiej Mości kopię opisu tej podróży złożonego mi przez Hrabiego [Strzeleckiego], i nie mogę tego zrobić bez powiadomienia Waszej Lordowskiej Mości o uczuciach poważania i szacunku w stosunku do niego, które zostały wzbudzone wśród mieszkańców tej Kolonii.

James Fenton z Tasmanii wspominał go w 1842 roku tak:

Najbardziej czarujący rozmówca. Objechał prawie cały świat, był pogodny w konwersacji, miał bogaty zapas anegdot, które opowiadał w najbardziej interesujący i często zabawny sposób, z silnym cudzoziemskim akcentem... przy

tym był wesoły, odważny, o silnej konstytucji fizycznej i obdarzony bogatym zasobem naukowej wiedzy.

5 września 1842 roku lady Jane Franklin pisała do swojej siostry:

On [Sir John Franklin] prawdopodobnie przedstawi panu Murray'owi jedną z najbardziej znakomitych i interesujących osób jakie kiedykolwiek poznał, nawet przy szerokim kręgu jego dystygowanych znajomych, polskiego szlachcica, hrabiego Strzeleckiego. Wiem, że będziesz nim oczarowana, jak każdy bez wyjątku, jest on tak dżentelmeński, elegancki, tak bystry, tak znakomity, tak pełen ognia i życia, a przy tym tak miły, tylko troszeczkę ironiczny, ale nie za wiele. Będzie on najjaśniejszą gwiazdą w twojej galaktyce ludzi zasłużonych. Spotkałam go pierwszy raz około trzy lata temu, w Government House w Sydney, gdzie był w wielkich łaskach u Sir George'a Gipps'a.

W czerwcu 1843 roku, przesłany został do Strzeleckiego uroczysty list, który zaczynał się następującymi słowami:

My, niżej podpisani, nie możemy znieść pańskiego odpłynięcia od naszych brzegów bez wręczenia panu dowodu naszego serdecznego ubolewania. Korzyści, którymi pan obdarzył nasz kraj, dodały do prywatnej przyjaźni dodatkowe motywy, które wołają o publiczne i jednogłosne wyrażenie naszego szacunku.

Wśród trzydziestu dziewięciu podpisów pod tym listem były te należące do gubernatora Sir Johna Franklina, do Głównego Sędziego Sir Johna Peddera, do Sekretarza Kolonii G. Boyes'a i innych prominentnych osadników w Tasmanii.

Poniżej był Dodatek, podpisany przez lady Jane i osiemdziesiąt cztery inne osoby:

My, niżej podpisane damy z Tasmanii, w pełni podzielając uczucia szacunku i uznania wyrażone przez dżentelmenów Kolonii pod adresem hrabiego Strzeleckiego, pragniemy mieć udział w zaszczycie dołączenia się do pamiątki którą mają oni zamiar mu wręczyć.

W połowie 1845 roku Charles Darwin napisał do Strzeleckiego po otrzymaniu egzemplarza jego „Fizycznego opisu Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena”:

Kilka dni temu otrzymałem pański uprzejmy i cenny prezent... Gratuluję panu ukończenia pracy, która musiała kosztować wiele wysiłku i jestem zdumiony liczbą głębokich tematów, które pan porusza. Proszę mi pozwolić wyrazić mój smutek, że nie ma tu o wiele obszerniejszych wyjątków z 'M.S.Journal'. Mam nadzieję zobaczyć go pewnego dnia opublikowanego w całości. – Mówi Pan o swoim nieidiomatycznym angielskim; z całego serca życzyłbym sobie, żeby jedna czwarta naszych angielskich autorów umiała myśleć i pisać językiem w połowie tak pełnym werwy a przy tym tak prostym.

21 listopada 1848 roku lord Overstone stwierdził, że Strzelecki jak najbardziej „dostarczył obfitości dowodów, że posiada te wysokie wartości moralne, które brytyjskie społeczeństwo zawsze miało w najwyższym poważaniu”.

Takie były opinie wyrażane przez ludzi, którzy znali Strzeleckiego osobiście i obserwowali go w realnym życiu. Po jego śmierci ten strumień pochwał się nie zmniejszył.

Narcyza Żmichowska, jego pierwszy biograf, powiedziała w 1876 roku: „Paweł Strzelecki w młodości i jak się zdaje w całym swoim życiu miał olbrzymie szczęście do ludzi.”

W 1929 tasmański dziennikarz John Reynolds napisał:

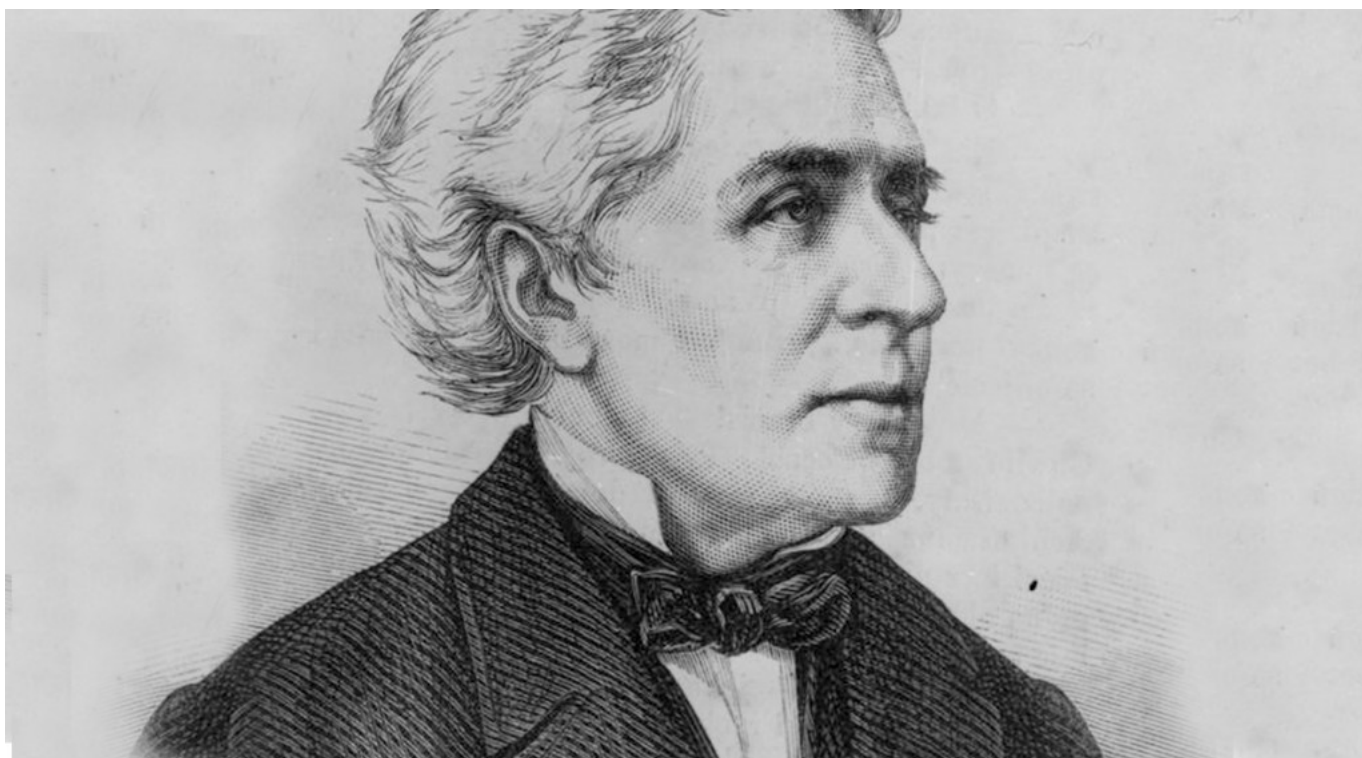
Uprzejme usposobienie Strzeleckiego uczyniło go szczególnie miłym gościem w wielu tasmańskich domach. Nawet dzisiajtrafiają się ulotne wspomnienia o tym przedsiębiorczym i wykształconym Polaku... Strzelecki należy do tej znakomitej grupy mężczyzn, którzy uczynili wiek XIX tak niezwykłym. Razem z Humboldtem, Franklinem, Darwinem, i Wallace'm, musi być uznany za jednego z wiodących naukowych odkrywców swojego czasu. Na pewno w stolicy Australii może się znaleźć jakieś miejsce żeby odpowiednio upamiętnić jego znakomite zasługi dla tego kraju.

W 1939 roku, dr Arundell Neil Lewis, znakomity geolog australijski, w płomiennych słowach oceniał zawarty przez Strzeleckiego w jego „Opisie fizycznym” dowód stanu paleontologicznej wiedzy w Australii w jego czasach. Wskazywał na *„benedyktyńską pracę, za którą australijska geologia pozostanie wdzięczna na zawsze”*.

20 października 1942 roku, Sir George Clark, prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, złożył hołd Strzeleckiemu mówiąc:

Kiedy przyjrzeć się bliżej życiu hrabiego Strzeleckiego, dwie rzeczy, poza jego odwagą i determinacją, wydają mi się niezwykle: pierwsza, to jego dar wzbudzania wśród wielkich umysłów uczucia przyjaźni i zaufania do niego. Jego związek z innym wielkim nazwiskiem naszego Towarzystwa, Sir Johnem Franklinem, jest wystarczającym tego dowodem. A inną właściwością jego charakteru, jak ja to widzę, jest jego głęboka prawość.

Bernard Cronin, autor i nauczyciel, który wychował pokolenie australijskich pisarzy i dziennikarzy, zauważył w swoim artykule z kwietnia 1959 roku: *„Niewielu ludzi miało tak bogate i urozmaicone życie jak hrabia Strzelecki. Jego miejsce w annałach Australii jest bezpieczne na zawsze, bo jesteśmy w znacznej mierze jego dłużnikami”*.



Lista tych wielce pochlebnych opinii mogłaby być wydłużona i z łatwością podwojona. Jednakże w roku 1961, zupełnie inny obraz Strzeleckiego został zaprezentowany w biografii napisanej przez Helen Heney, zatytułowanej „Przez przyciemnione szkło: historia Paula Edmonda (tak!) Strzeleckiego”. W książce Heney rzucony został cień na moralną reputację Strzeleckiego, jego profesjonalna kompetencja została pomniejszona i w ogóle został on odrzucony jako niesympatyczny Polak. Nagle odrzucono i zanegowano wszystkie poprzednio cytowane opinie ludzi, którzy Strzeleckiego znali osobiście. Przyjęto za zasadę twierdzenie, że ci ludzie mylili się, kiedy rysowali pochlebny obraz Strzeleckiego na podstawie własnych obserwacji. Autorka napiętnowała Strzeleckiego jako *„figurę godną politowania”*. Ten wątek znalazł kontynuację w stałym strumieniu recenzji, a powtórki w książkach często były upiększane takimi obelżywymi wymysłami jak *„hrabia był podrabiany”, „drugorzędna i bezbarwna figura”, „ubogi krewny rodziny z pretensjami do szlachectwa”, „samozwańczy arystokrata”, „nie był odkrywcą złota”, „nie wspiął się na Mt Kościuszko”*. Ponadto *„jego życie rozgrywane było jako monstrualne kłamstwo i oszustwo”, „Strzelecki kreował i żył kłamstwem”, „samozwańczy naukowiec i badacz”, „awanturnik bez skrupułów, o niewielkim talencie i możliwościach, oportunistą, który korzystał z każdej okazji z niewielkim szacunkiem dla prawdy, aby zadowolić swoje ambicje”, „jego rodzice byli chłopami”, „urodzony w 1797 pod Poznaniem wśród ziemiaństwa ze słomą w butach (seat-out-of-their-pants gentry)”, „próżny exhibicjonista”*. Jeden z uczonych z australijskiego uniwersytetu określił wysiłek Heney jako *„bardzo duży naukowy kij użyty do zbitcia bardzo małego historycznego psiaka”*, podczas gdy inny bardzo utalentowany pisarz, prawdziwa duma australijskiej literatury, napiętnował Strzeleckiego jako *„człowieka o wyćwiczonej bezczelności”*. Pewien sydneyjski dziennikarz i autor wyraził się, że *„Strzelecki dostałby, co mu się należało, gdyby po dotarciu na szczyt Mount Kościuszko spadł i złamał sobie kark”*.

Po zebraniu i przeczytaniu tych uwłaczających komentarzy, uderzyła mnie uwaga opublikowana 1 czerwca 1962 w melbourneńskim miesięczniku *Bohemia*:

Jakiż to musiał być wszechmocny magik, że sam sugerował, aby go honorowano i kochano kiedy nie był tego wart i że znakomici ludzie jego epoki – ministrowie,

politycy, naukowcy, administratorzy – nawet taki realista jak Charles Darwin – potulnie zgadzali się i poddawali woli Strzeleckiego?

Tego samego dnia recenzja zatytułowana „Przyczerniony obraz” ukazała się w *The Times Literary Supplement*, gdzie krytyk pisał:

Panna Heney nie zaprzecza, że w historii Strzeleckiego był światowy sukces, ale dokuczliwie łaje go nawet za cechy takie jak towarzyski wdzięk i lojalność wobec swojej przybranej ojczyzny, które nie wydają się karalne według żadnych praw moralnych. Także i psychologiczna interpretacja używana jest do stronniczego zabarwiania faktów i jest to bardzo naiwny rodzaj psychologii.

Zastanowiło mnie też zdanie znalezione w napisanej przez dobrze znanego dziennikarza, Geofreya Tebbutt’a recenzji książki Geofreya Rawson’a *The Count*, opublikowanej w *Herald’zie* w Melbourne 19 grudnia 1953: „Pan Rawson jest zbyt uczciwy i zbyt zdyscyplinowany, aby wyciągać wnioski idące dalej, niż pozwalają na to dowody”.



W tej sytuacji sięgnąłem do trzech głównych biografii Strzeleckiego opublikowanych przed rokiem 1961. Znakomity australijski historyk, Ward L. Havard, napisał pierwszą z tych biografii w 1939 roku, i zakończył swoje cenne opracowanie (zatytułowane „Sir Paul Edmund de Strzelecki”, ukazało się w *Royal Australian Historical Society Journal*, tom 26, część 1, 1940) następującymi słowami:

Z pewnością jego zadziwiająca sprawność fizyczna i wigor, w połączeniu z wielką energią intelektualną i dogłębnym współczuciem dla bliźnich, wyniosły go do rzędu ludzi wybitnych. Z Głuszyny pod Poznaniem, bez wpływów rodziny czy bogactwa, zdobył sobie zaszczytne miejsce w Victorii i Anglii.

Komandor Geoffrey Rawson, w swojej książce *The Count* (1953), doszedł do wniosku, że Strzelecki „osiągnął ten światowy sukces i satysfakcję wyłącznie siłą swoich zalet i swojej ujmującej osobowości”.

Wacław Słabczyński, kurator Biblioteki Narodowej w Warszawie, który skonsultował się z co najmniej dwiema setkami bibliotek na czterech kontynentach przed

napisaniem najbardziej szczegółowej i najlepiej udokumentowanej do dnia dzisiejszego biografii Strzeleckiego, pod tytułem Paweł Edmund Strzelecki: Podróż-Odkrycia-Prace (1957) skonkludował: *„Nie cenił sobie sławy, a jednak ona go dosięgła wbrew jemu samemu”*.

Ani jeden z tych bardzo różniących się od siebie biografów nie wyczuwał i nie podejrzewał niczego, co mogłoby sprowokować oszczerstwa i obelgi przytaczane powyżej. Nie podobało mi się obrzucanie błotem nieżyjącego człowieka, który dobrze przysłużył się Australii i jej mieszkańcom. Toteż w latach 1950-tych narodziła się moja sympatia dla niego. W reakcji na słowa z Wprowadzenia do książki Heney *In a Dark Glass* - *„Ta rozprawa będzie dla wielu nie do przyjęcia i to jest ostateczny powód, żeby ją napisać”* - zdecydowałem sprawdzić i ocenić dowody w istniejących materiałach biograficznych i w literaturze na temat Strzeleckiego. W ciągu ostatnich czterdziestu lat wyłonił się obraz charakteru i dokonań Strzeleckiego całkowicie odmienny od tego, który stworzyła Heney, a niezbyt odległy od tego, jak widzieli go jemu współcześni.

Warto zacytować dialog dwóch zmyślonych i anonimowych postaci, które obserwują Strzeleckiego wchodzącego do budynku Towarzystwa Królewskiego w Londynie. Ten fikcyjny dialog został umieszczony w prologu do dysertacji „P. E. Strzelecki - Australian Explorer; 1797-1873”, za którą panna H. E. Heney otrzymała stopień magistra (Master of Arts) Uniwersytetu w Sydney w roku 1937. Ten dialog kończy się następująco:

Jego towarzysz roześmiał się. „Fakty, nawet w tych rzadkich przypadkach, kiedy są prawdziwe, a nie tylko uznawane za takie, nic nie znaczą. Każdy może przekreślić je stosownie do potrzeb. Prawdziwa prawda, jeśliby taka w ogóle istniała, mogłaby być odnaleziona w osobowości człowieka, który te fakty wykreował, w wewnętrznych motywach, które skłoniły go, żeby postąpił tak, a nie inaczej. Powód, dla którego człowiek poszukuje, cel, który go skłania do podróży, znaczy dla mnie więcej, niż góry, na które się wspiął czy rzeki, którym nadał nazwy. Ale to rzadko znajdziesz w biografii”.

„Czy w twojej romantycznej opowieści jest więcej prawdy niż w moich nagich faktach? W końcu obie wersje są tylko wyborem możliwych materiałów”.

„Daj mi mój rodzaj prawdy, i możesz sobie zatrzymać swoją własną. Co widzi się w życiu, w końcu, jest prawdopodobnie nie tyle tym, co tam jest, ile tym, co się tam widzi. Biografia to tylko fikcja pod inną nazwą”.

Po zobaczeniu tych słów napisanych przez Heney, odczuwa się pokusę żeby zapytać czy wszystkie biografie, które napisano i opublikowano, są naprawdę fikcją? Czy fakty mają być wykrzywiane tak, żeby odpowiadały intencjom i zachciankom biografów? Z pewnością powinna być jakaś różnica między biografem, a powieściopisarzem.

Trzysta lat mistyfikacji



XV-to wieczny Klasztor Klarysek w miejscowości Beja w Portugalii.

Florian Śmieja

Jadąc z Andaluzji do Lizbony zatrzymałem się w niewielkim portugalskim mieście Beja, w którego centrum wznosi się piętnastowieczny Klasztor Klarysek. Jego sława dobiegła mnie przed wieloma laty, więc postanowiłem zwiedzić go po drodze i zobaczyć celę jego najgłośniejszej mieszkanki, siostry Marianny Alcoforado, zakonnicy, której przypisano autorstwo listów miłosnych, w których rozczytywała się Zachodnia Europa a zwłaszcza Francja i Hiszpania przez trzy wieki.

Ta Twoja nagle ucieczka, którą ból mój jakkolwiek tak wynalazczy w środkach nowych cierpień, nie jest zdolny w całej doniosłości jej smutku dostatecznie określić, zaliż to mi po wszelką wieczność nie dozwoli ujrzeć tych oczu, w których tyle miłości widziałam, które mnie nauczyły odczuwać rozkosze, jakie mi się stały nieskończoną błogością, zastąpiły wszelkie inne uczucia, a mówiąc szczerze – całą mnie wypełniały.

Moje biedne oczy straciły w twoich jedyne światło, które mi życie i krasę dawało; pozostały im tylko łzy, a nie znam innego z nich pożytku, jak tylko płacz, ustawiczny płacz, odkąd się dowiedziałam, żeś postanowił tę straszną rozłąkę, która niezadługo mą śmiercią się stanie.

A nagle: jednakoż zdaje mi się, jakoby, mnie coś ciągnęło do cierpień, których Ty jeden jesteś przyczyną. Całe moje życie Tobie poświęciłam od pierwszej chwili, w której oczy moje na Tobie spoczęły, i odczuwam tajemną rozkosz Tobie je w ofierze złożyć.

Westchnienia moje wybiegają za Tobą po tysiąc razy na dzień, a nie dają mi żadnego ukojenia – biedne westchnienia moje nic dać Ci nie mogą prócz świadomej pewności mego nieszczęścia, które mi żadnej nadziei nie pozostawia i wiecznie to samo powtarza: „Przestań wreszcie, przestań biedna Marianno, przestań się tak daremnie wyczerpywać! Dość już westchnień, płaczu i żalów za kochankiem, którego nigdy już nie ujrzysz, który poza morze popłynął, by od Ciebie uciec – kędyś do Francji, a teraz opływa w przyjemnościach i rozkoszach i ani na sekundę nie pomyśli, że Ty cierpisz, i rozgrzesza Cię z uczuć, za które na

żadną podziękę dla Ciebie zdobyć się nie może”.

Te fragmenty pierwszego listu pochodzą z tomiku “Listów miłosnych” Marianny Alcoforado wydanej w serii Jednorożca. Stanowią one fascynującą lekturę uchodząc nie tylko za wizerunek stanów serca portugalskiej zakonnicy, ale także za perłę literatury spowitą w atrakcyjną tajemniczość. Tak przynajmniej było do niedawna. Wersja polska doczekała się kilku wydań a sporządził ją nie byle kto, bo Stanisław Przybyszewski i przekład poprzedził pasjonującym wstępem.

Wydane anonimowo w Paryżu w 1669 roku jako “Listy portugalskie” uchodziły za tłumaczenie z języka portugalskiego pisane przez nieznaną autorkę do wysokiego stanu kawalera, którego następna edycja wymieniła jako Chevaliera de Chamilly. Ponieważ książeczka stała się ogromnie popularna, sprytny wydawca dołączył listy pisane przez kogoś innego oraz odpowiedzi adresata. Z biegiem czasu zatraciło się rozróżnienie głównie z powodu braku sumienności edytorów i zatrąty literackiego smaku u czytelników. W krótkim czasie rozeszło się czterdzieści wydań.

Oczywiście, zaczęto dociekać tożsamości bohaterów “Listów”. Amanta – adresata tak charakteryzuje Saint-Simon:

Chamilly był w rzeczywistości tęgim i dość dobrze zbudowanym mężczyzną; ale równocześnie był bardzo grubiański i tak głupi, tak ciężki na umyśle, że gdy się na niego popatrzało i jego bredni słuchało, człowiek nie tylko że nie był w stanie pojąć, by się w nim jakaś kobieta rozkochać mogła, ale nawet wątpić należało, iżby mógł posiadać jakiś talent wojenny. Jeżeli zrobił w ogóle jakąś karierę mimo swej potwornej głupoty, to zawdzięcza to jedynie swej żonie, mądrej i roztropnej osobie. Znając dokładnie wartość swego męża, pani Chamilly na krok go nie odstępowała, wszystko za niego robiła, a on nawet tego nie miarkował.

Pochodził ze starej burgundzkiej rodziny i od młodych lat służył w wojsku. Jako rotmistrz szwadronu jazdy stał w portugalskim miasteczku Beja. Tam to, słowami Przybyszewskiego,

był klasztor Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, klasztor, w którym dwudziestosześcioletnia Marianna Alcoforado miała utracić cichy, pogodny spokój

duszy, w jakim, jak sama opowiada, dotychczas żyła, stracić go na zawsze przez lekkomyślnego junaka, zjadacza serc niewieścich, trzydziestoletniego kapitana zaciężnego wojska francuskiego.

A nieco dalej notując obserwację Saint-Simona o zakonnicy, która z miłości ku niemu oszalała, powie:

Rozumiem całe zdziwienie Saint-Simona, ale nieśmiertelna historia Tytanii z osłem powtarzała się zawsze i powtarzała się będzie. Tej bezbrzeżnej głupocie, chępliwości i beztaktowi marszałka Chamily mamy do zawdzięczenia jeden z najwspanialszych dokumentów duszy kobiecej w całym jego obłędzie miłosnym, jej bezbrzeżnej rozpacz po utracie kochanka, jej nadludzkich uniesień i przepastnych upadków.

Dopiero w 1810 roku padło nazwisko autorki listów. Brissonade znalazł dopisek na edycji z 1669 roku: „Zakonnica, która te listy pisała, nazywa się Marianna Alcoforado, z klasztoru w Beja, pomiędzy Ekstremadurą a Andaluzją”. Choć rodzina Alcoforadów była poważana i zasłużona, dopiero listy Marianny przydały jej najwyższego splendoru i przysporzyły światowej sławy.

W owych czasach w klasztorze mieszkaly nie tylko mniszki z powołania, które służbie Bożej poświęcały życie, ale często również kobiety szukające schronienia. Posiadając majątek urządały się z przepychem i wygodą. Swobodne kontakty ze światem za murami klasztoru nie dawały budującego przykładu, a niekiedy wywoływały skandale i głośne procesy. Tak pojęta epoka łatwo wytłumaczy szczegóły zawarte w listach. Przybyszewski widzi zakonnice, a wśród nich Mariannę, swobodnie przyglądającą się wojskowej paradzie,

na której czele harcował dorodny Chamily na ognistym rumaku. I to istotnie było jej zgubą i straszną tragedią. Spojrzał na nią i w tej samej chwili rozpałił w jej sercu ogień piekielnej miłości.

Okres miłosnego upojenia nie trwał wszakże długo. Kochanek pewnego dnia wsiadł na statek i wrócił do Francji. Na listy wpierw nie odpowiadał, potem pisał zdawkowo.

Marianna zdobyła się na ogromny wysiłek, aby piątym listem pożegnać go na zawsze.

Nic już więcej sobie od Waćpana nie życzę. To prosty obłąd, że Mu to tak często i tyle razy powtarzam. A jest konieczne, bym wybiła sobie Pana z myśli i pamięci i całkiem o Nim zapomniała.

I nawet wierzę w to, że już nigdy do Niego nie napiszę.

Za wszelką cenę Marianna postanowiła sobie przywrócić równowagę ducha i uspokojenie, albo targnąć się na swoje życie. Nie umarła jednak z miłości. Prócz udręki i męczarni spadła na nią infamia. Badacze jej losów na próżno szukali w rodzinnych dokumentach choćby najdrobniejszej wzmianki. Jej brat Baltazar, towarzysz broni Chamilly' ego wstąpił do stanu duchownego: cóż prostszego jak zobaczyć w jego nagłym kroku skrucę za rolę jaką mógł być odegrać pośrednicząc w miłosnym stosunku Francuza z siostrą. Starszy brat oddał córki do innego klasztoru: czyż nie lękał się złego przykładu siostry? A Marianna, mimo gorącego oddania się służbie Bożej, mimo dobroci i łagodności, pozostała na uboczu i w cieniu. Umarła w 1723 roku – czterdzieści lat później – po cierpieniach i chorobach w łasce i przytomności umysłu.

Tymczasem "Listy portugalskie" zdobywały sobie coraz większą poczytność zarówno wśród szerokich rzesz czytelniczych, jak wśród elity intelektualnej. Po dziś dzień fascynują swoją niecodzienną mocą:

Ja biedne dziecko człowiecze! Takaż to zapłata, którą mi się odwdzięczasz za to, żem Cię tak gorąco ukochała?

Ale wszystko mi jedno. Postanowiłam ubóstwiać Cię przez całe moje życie i nikogo więcej nie pokochać. I to jedno Ci powiem: dobrze zrobisz, jeżeli i Ty żadnej innej nie pokochasz.

Zadowolilibyś się może miłością mniej gorącą od mojej? Być może, że znalazłbyś kobietę piękniejszą ode mnie – a przecież mówiłeś kiedyś, że jestem piękna – ale żadnej nie znajdziesz, która by Cię tak gorąco kochała jak ja, a ta reszta – to wszystko poza tym, to głupstwo i marność.

Przy pożegnaniu z równą mocą zabrzmiałe poczucie godności jak rozumienie sytuacji i żal za utraconą miłością.

Chciałabym raz jeszcze do Waćpana napisać, aby Mu udowodnić, że po niejakimś czasie przecież się trochę uspokoiłam. Jaką rozkosz mi to sprawi, że będę mogła Mu w oczy cisnąć wyrzuty za Jego niegodziwe zachowanie się, wtedy gdy już mi mniej serce krwawić będzie; pokazać Mu, że Nim pogardzam, że mówię o Jego zdradzie z najgłębszą obojętnością, że zapomniałam o wszystkich mych rozkoszach i udręczeniach i że nigdy o Nim nie myślę prócz wtedy, gdy zechcę.

Przyznaję, że Waćpan miał wielką przewagę nade mną i żeś mnie zniewolił, iż Cię aż do obłędu pokochałam, ale nie masz się znowu czym tak bardzo pysznić. Byłam młoda, łatwowierna, zamknięto mnie tu w klasztorze od dzieciństwa; widziałam wokół siebie tylko nieprzyjemnych ludzi; nigdy nie słyszałam tego rodzaju pochlebstw, jakimiś mnie Waćpan bezustannie zasypywał; zdawało mi się, że Jemu zawdzięczam ten wdzięk i piękność, którąś we mnie odnajdował, i na którą oczy moje otworzyłeś; słyszałam o Waćpanu li tylko rzeczy pochlebne, czyniłeś Waćpan wszystko, by tylko miłość we mnie rozbudzić. Ale teraz wydobyłam się z tego zaczarowanego koła: Waćpan przysłużył mi się ogromną pomocą, a szczerze się przyznaję, że potrzebowałam jej w najwyższym stopniu. Jeżeli teraz odsyłam listy Waćpana, to te dwa ostatnie, któreś mi napisał, chować i w nich rozczytywać się będę bez końca, daleko gorliwiej aniżeli w pierwszych. To będzie moją obroną przed dawną słabością. Ale jak drogo mnie one kosztują i jak bym pragnęła, abys był zezwolił, abym Cię nie była przestała kochać.



Wnętrze Klasztoru Klarysek w Beja w Portugalii.

“Listy portugalskie” porównano do pięciu aktów klasycznej tragedii. Wzruszająco piękne tworzą historię uczucia kobiety, która zaczawszy od optymistycznej wiary, w końcu widzi jasno swoją pomyłkę: kochała nie mężczyznę, ale miłość samą. “Listy” ceniono od początku za prawdę i za kunszt.

Ale od początku zaistniały też pewne wątpliwości i odzywały się głosy sceptyczne. Krytyk francuski Barbey d’Aurevilly argumentował z katolickiego punktu rozumienia sytuacji domniemanej autorki. Jego zdaniem taka nienaturalna pasja zakonnicy do mężczyzny musiałaby w relacji autobiograficznej znaleźć odpowiedni kształt czegoś monstrualnego, szalonego i bez precedensu tragicznego. “Listy portugalskie” natomiast krytyk odbierał jako po prostu historię zakochanej kobiety opłakującej opuszczenie kochanka bardzo przypominającą inne historie sentymentalne. Jednak największym sceptykiem okazał się Jan Jakub Rousseau. Jego zdaniem “Listów” nie tylko nie napisała zakonnica, ale nawet żadna inna kobieta. Z jakim triumfem cytuje Przybyszewski słowa tego mizogenisty, aby następnie wytoczyć przeciwko niemu ciężkie działa portugalskiej krytyki.

Rousseau napisał:

W ogólności kobiety nie ukochały żadnej sztuki, nie znają się na żadnej i nie mają

żadnego geniuszu. Coś im się uda czasem w małych rzeczach, które nie wymagają nic innego nad pewną lekkość umysłu, smaku, wdzięku, czasami nawet trochę filozofii i rozumowania. Mogą sobie zdobyć wiedzę, erudycję, talenty i to wszystko, co się zdobywa za pomocą pracy. Ale tego ognia niebieskiego, który rozgrzewa i obejmuje duszę – geniuszu, który pochłania i pożera, tej palącej wymowności, tych przesłodkich ekstaz, które wnikają swą rozkoszą do głębi duszy, tego wszystkiego nie znajdziesz w pismach kobiet: są one zimne i ładne, jak ich twórczynie: będziesz podziwiał giętkość i wydatność umysłu, ale nigdy nie natrafisz na ślad duszy. Ujrzysz je sto razy więcej rozdrażnione aniżeli roznamiętnione. Nie umieją one opisać ani czuć miłości...

Mógłbym się założyć o wszystkie skarby świata, że "Listy portugalskie" były pisane przez mężczyznę.

Tymczasem jednak pozory zdawały się mówić co innego. Odkąd Boissonade ogłosił, że na jego egzemplarzu "Listów portugalskich" znajdowała się współczesna notatka podająca nazwisko autorki, inni doszukali się tego nazwiska wśród zakonnic konwentu Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej w Beja. Znalezione też dowody na to, że Doña Brites była dobrodziejką tego klasztoru w 18 wieku.

W obliczu tych dowodów zgodzono się traktować dziełko za autentyczne, w Portugalii zaś powitano je jako arcydzieło rodzimej literatury i z braku „oryginału” sporządzono przekład na portugalski rekonstruując język epoki. Tymczasem "Listy portugalskie" w języku francuskim nawet najbardziej renomowane biblioteki relegowały do działu przekładów. W patriotycznej euforii dyplomata i historyk literatury Sousa-Botelho stwierdził, że „każdy Portugalczyk albo jakikolwiek dobry znawca tego języka ani na chwilę wątpić nie będzie, że te pięć listów prawie dosłownie zostały z portugalskiego oryginału przetłumaczone”.

Znawca „nagiej duszy”, Przybyszewski opierając się na tych wszystkich argumentach stwierdził dobitnie, że nie można było przyrównać tekstów pisanych przez wyszukanych stylistów epoki z „tak strasznie szczerymi, pisanymi krwią z bólu oszalałej zakonnicy”. Dopatrzył się również w "Listach" „duszy bez obstępów, bez frazesu, z niesłychaną szczerością i prawdą”. Cytując słowa Remy de Gourmont, że "Listy" są „arcydziełem miłości kobiety” dodał „i rzeczywiście nie znam w całej

literaturze nic, w czym by dusza kobiety tak do naga się odsłoniła w swej bezdennej rozpaczycie miłosnej, swej dumie i poniżeniu, w swej zachłanności, zazdrości i pokorze”.

W oparciu o te wszystkie racje, o pochopnie odczytaną intencję i małą znajomość klasyków francuskich polski satanista doszedł do przekonania, że autorką była istotnie kobieta, i że Rousseau zakład przegrał.

Tymczasem w 1926 roku na scenie pojawił się nowy szermierz o prawdę, profesor F.C. Green. Podważył on szereg twierdzeń dotyczących historycznej Marianny Alcoforado i wskazał na rozbieżności w „Listach”. Największą jednak jego zasługą było odwołanie się do oryginalnego przywileju na mocy którego ukazało się pierwsze wydanie „Listów” z 1668. Nie ma tam wcale mowy o tłumaczu, ale o autorze, którego nazwisko podano jako „Guilleraques”.

Krytyka francuska nie lubiąca ingerencji obcych naukowców w sprawach literatury, nie przyjęła wywodów Greena. Dopiero w roku 1962 uczeni M. Deloffre i M. Rougeot poddali „Listy” badaniom stylistycznym i doszli do wniosku, że charakteryzował je sposób pisanie i debatowania pisarzy tworzących salon Madame de Sable, wśród których był także Gabriel de Lavergne, Vicomte de Guilleraques, u schyłku życia ambasador Ludwika XIV w Konstantynopolu. Ponieważ równocześnie wyszło na jaw, że drugie dziełko wymienione w przywileju było autorstwa Guilleraque’a, a w rozszyfrowanym współczesnym tekście mówi się o nim jako o autorze listów miłosnych, sprawa została definitywnie przesądzona. „Listów portugalskich” nie napisała portugalska zakonnica Marianna Alcoforado. Nie napisała ich również żadna inna kobieta. Wyszły spod pióra mężczyzny, którego anonimowy druk z 1669 roku określił jako *„przystojnego, o żwawym dowcipie, doskonałego kompana. Cechowała go rozległa wiedza i pisał doskonałe wiersze, a także listy miłosne”*.

„Listy” nie były więc naturalną wypowiedzią miłości i bólu porzuconej zakonnicy z Beja, ale tworem literackiego zamierzenia francuskiego arystokraty. Dotychczasowy nacisk na autentyzm „Listów” przesłaniał postrzeganie ich znakomitego artyzmu. Teraz nareszcie będzie je można czytać pod kątem widzenia analizy duszy kobiecej oscylującej między nadzieją i rozpaczą, a zdobywającą się w końcu na zaprzestanie korespondencji. Niszcząc piękną legendę, uczeni odsłanili arcydzieło psychologicznej

introspekcji i sztuki stylistycznej.

Kiedy w mieście Beja kustosz muzeum opowiadał spokojnie o portugalskiej zakonniczynie jako o autorce, której sława obiegła świat, nie oponowałem. Stałem bowiem w miejscu, gdzie żyła legenda. A legendy bywają piękniejsze od rzeczywistości. I trwalsze.

Wielki zamilczany



Jerzy Narbutt

Jerzy Biernacki

Gdyby zapytać licealistę lub nawet studenta polonistyki piątego roku, kto to jest Jerzy Narbutt, obawiam się, że najczęściej nie otrzymałoby się żadnej odpowiedzi.

Dźwięk samego nazwiska być może wydawałby się naszemu respondentowi znajomy, ale związany raczej z brzękiem szabel powstańczych niż z literaturą. Jerzy Narbutt po dziś dzień bowiem jest jednym z najszczelniej zamilczanych pisarzy współczesnych, mimo że jego dorobek sięga dwudziestu pozycji książkowych, a każda z nich jest w szczególny sposób znacząca. Autor oficjalnego od 2000 roku hymnu Solidarności (...), specjalnie zaproszony na jubileuszowe zebranie jej regionu mazowieckiego, połączone z koncertem, nie tylko nie doczekał się od tej organizacji jakiegokolwiek wyróżnienia czy pamiątkowego medalu, ale również wykonania swego hymnu (z muzyką Stanisława Markowskiego), wbrew zapowiedziom oraz gotowości artystów, którzy nauczili się pieśni i zamierzali ją zaśpiewać. Organizatorzy do tego nie dopuścili. – A więc bojkot trwa nadal – szepnął do mnie rozgoryczony pisarz.

Tym bardziej więc jest naszym obowiązkiem przypomnieć oryginalną twórczość i niecodzienną biografię tego twórcy, którego każdy kolejny tom prozy, poezji, eseistyki czy artykułów publicystycznych powinien być wielokrotnie analizowany, przybliżany czytelnikom i promowany przez krytykę, gdyż jest to (i przyszli historycy na pewno to potwierdzą) jedna z najważniejszych i największych pod każdym względem postaci literatury i szerzej kultury polskiej, o której czystość i wysoką jakość niestrudzenie się dopomina. Docenił to rozporządzający czułym sejsmografem sfery kultury i cywilizacji Waldemar Łysiak, obdarzając Jerzego Narbutta w jednym z tomów swego „Malarstwa białego człowieka” mianem największego żyjącego myśliciela polskiego.

Prozaik

Sam pisarz największą wagę przywiązywał do swoich utworów prozatorskich, wśród których jest przede wszystkim kilka tomów nowel (pierwszy – „Debiut i inne opowiadania” z 1965 r., potem „W mieście wesele”, „Znowu zakwitnie listopad”, aż po „Benefis” z roku 2004) i jedyna powieść pod niezwykłym tytułem „Ostatnia twarz portretu”, pierwotnie wydana w drugim obiegu w 1981 roku (przy sprzeciwie Wiktora Woroszyńskiego, który oskarżył ją o nadmierny patriotyzm!), a ponownie przez opatrnościową dla pisarza katowicką Unię Jerzego Skwary w roku 2002. Wtedy to impuls, zrodzony jeszcze w okresie walki z komuną, zaindukował Krzysztofa Masłonia, krytyka literackiego „Rzeczpospolitej”, do napisania bardzo

pięknej rekomendacji powieści, do przypomnienia jej niezwykłych walorów (na łamach dodatku „Plus Minus”), co na chwilę przełamało betonową ławę bojkotu pisarza, po czym...wszystko wróciło do normy.

A tymczasem mamy tu do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym. Już ponad dwadzieścia lat temu za takie uznano nowele pisarza, pomieszczone we wspomnianych tomach, takie jak „Bal u senatora”, „Druga twarz portretu” czy „Benefis”. Pisarz, poprzez swoje osobiste życie integralnie związany z Warszawą, sięgał w nich do miejsc związanych z biografią jego bezpośrednich przodków i po mieczu i po kądzieli, tj. do Kresów, ewokując nastroje, zdarzenia, psychospołeczną atmosferę panującą na tamtych ziemiach w różnych kluczowych momentach polskiej historii. Przy tym momenty te jak gdyby wyłaniają się z historycznej mgławicy, w widzeniu narratora, którym jest dziecko lub niedorosły chłopiec i są efektem rzutowania autora w przeszłość sięgającą daleko przed jego datę urodzenia (na ogół pisze w pierwszej osobie). A jednocześnie to dziecko czy ów chłopiec, niekiedy młodzieniec jest uwikłany w jakiś rodzinny i osobisty dramat, związany albo ze śmiercią rodziców (za którą czuje się jakoś winny?), albo z nieobecnością ojca – łatwo domyślamy się, że zesłanego na Sybir – do którego przeraźliwie tęskni, czy z dziwnym postępowaniem matki. Zdarzenia wyłaniają się i przebiegają jak we śnie. Tak samo jawią się niektóre postacie, pośród których ważna jest babka, ostoja trzeźwego spojrzenia i roztropności, brat (w przeciwieństwie do narratora, zdrowy i zdolny do walki, choć w jednym utworze doprowadzony do osłabienia i śmierci wydaje się tragiczny, dopóki nie okazuje się, że to był tylko sen!), stary Hrycio, wierny sługa rodziny (jeszcze ojca narratora wykołysał w swych silnych ramionach) i wreszcie młody Ukrainiec, Kola, nieco starszy, jak to się dawniej mówiło, prawie „rówiennik” bohatera, którego w chorobie ogrzewa własnym ciałem, ale kiedy indziej potrafi zdradzić, miotany sprzecznymi emocjami to etnicznego, to znów politycznego autoramentu. Miejscem akcji jest najczęściej dwór ziemiański, jego strych pełen zapomnianych pamiątek przeszłości, wieś wokół dworu, z kościołem i plebanią, pejzaż kresowy z jego intensywnymi barwami. Bywa i wspomnienie zesłania, a kulminacją w kilku przypadkach jest przybycie do dworu po raz pierwszy od stu lat polskiego (legionowego) wojska, przeżywane jak olśniewająca iluminacja.

Jest to proza na wskroś nowoczesna, można zresztą wymienić kilka utworów, by tak rzec, czysto groteskowych (jak „Deszcz” czy „Przypowieść”), odbiegających

całkowicie od opisanych wyżej klimatów, ale ów generalnie nietradycyjny sposób konstruowania opowieści nie służy jakiemuś rozbijaniu rzeczywistości, a zwłaszcza podważaniu tradycyjnych zasad ludzkiego zachowania się (jak to bywa w prozie Gombrowicza), lecz uintensyfikacja niejako obraz tej rzeczywistości, czyni go w jakimś sensie ważniejszym, bardziej widocznym, bardziej dotykającym. Jest to bowiem proza, której źródła są związane z jakąś tajemnicą czy tajemnicami, ale my ich nigdy nie poznamy, skazani na domysł, na własną wyobraźnię, co prawda mocno przez autora rozwibrowaną; proza pełna niedopowiedzeń, pojawień i zniknięć niewyjaśnionych, wieloznaczności wnętrza głównej postaci. Jednoznaczny jest tylko duch tych opowieści, całkowicie i niewątpliwie polski, całkowicie i niewątpliwie niepodległy, wolny tą polską wolnością, o której marzyli wieszczowie romantyczni, a która właśnie w tych opowiadaniach (niekiedy) się ziszcza.

Jeśli miałbym szukać jakichś, choćby odległych, paralel dla nowelistyki Narbutta, to mógłbym odwołać się, ale tylko w niektórych przypadkach, do nowelistycznej prozy Cypriana Kamila Norwida: u obu autorów odnajdujemy przenikanie się dwóch planów: przyrodzonego i nadprzyrodzonego, „fizyki” i metafizyki, a poza tym w podobny sposób traktowana jest problematyka postaw moralnych. Proza Narbutta wyróżnia się przy tym jeszcze swoistą gęstością poetyckich sformułowań, muzycznością czy rytmicznością zdań (niekiedy brzmiących jak w wierszu, a nie w prozie), niezwykłą trafnością rozmaitych trzeźwych sądów i myśli, zwłaszcza gdy padają w otocze wspomnianej oniryczności. Konkretnie wywiedziony jak gdyby ze snu, dotykliwość przedstawionych scen, które w strzępach pozostają w pamięci, a także postaci, również tych marginalnych, jak owa ciotka Emilia ulegająca chwilowej pokusie erotycznego przeżycia z młodzieńcem bohaterem (i jego dwubieguna reakcja na to: wysoka temperatura podniecenia połączona z obrzydzeniem), składają się na ten osobliwy konglomerat, z którego z łatwością wyluskujemy skład zasad drogich autorowi, w którym piękno, dobroć, prawda, wiara, nadzieja i miłość są najważniejsze.

Podobne cechy odnajdujemy w mniej licznych opowiadaniach (i mini-esejach) o tematyce włoskiej, tak bliskiej autorowi „Tęsknoty za Wenecją”, wzdychającego jakże często za „felice Italia”. Mniej w nich wprowadzanie tajemnic, za to nie mniej subtelnych nastrojów, sublimacji uczuciowych, więcej zdarzeń związanych z „wiekiem męskim, wiekiem klęski” (bo tu już narrator czy sam autor nie jest dzieckiem, lecz dojrzałym

mężczyzną), a przy tym zachwyca jakieś niemożliwe zdawałoby się pogodzenie sprzeczności: trzeźwości spojrzenia na te miejsca ukochane przecież jakże gorącym uczuciem. Jak w tym fragmencie podsumowującym odczucie Wenecji: *I właśnie te dwa doznania stanowią o niepowtarzalności przeżycia, jakie daje Wenecja. Urok morza z urokiem nierealnego theatrum. Kamienna wizja pośród wodnego żywiołu. Gdzie takie drugie miasto na świecie?*

A że niektóre kanały na zapleczu cuchną? Nie spotkałem jeszcze pachnących kulis. („Wenecja”, w rozdziale „Wspomnienia włoskie”, w tomie „Wyrzucony na brzeg życia”, Katowice 2005).

Metodą „nowelową” napisana jest również jedyna powieść Narbutta „Ostatnia twarz portretu”, to znaczy przy zachowaniu wszystkich czy prawie wszystkich cech jego prozy opowiadaniowej, ale ciągłość narracji, ewolucja postaci, szczególnie jednego z dwóch głównych bohaterów, zawilości i nieoczekiwane zwroty losów innych osób (zwłaszcza kobiet, niekiedy bezimiennych), wreszcie poważne wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu (i zarazem ginącemu) światu, „tak strasznie sfalszowanemu” (ks. prof. Janusz Pasierb) – wszystko to nadaje jej wyrazistą cechę epickości. Odnajdujemy w niej te same nastroje, uczucia i pragnienia indywidualne, co w nowelach, dotyczące poszczególnych postaci, w związku z rozwojem ich charakterów i zdarzeń w ich życiu. Tu również, jak tam, nie wiemy czasem, skąd i dlaczego pojawia się ta lub inna postać i domyślamy się jedynie, dlaczego to właśnie, a nie co innego z nią się dzieje, przy czym cały czas mamy do czynienia z rosnącym napięciem dramatycznym, czy też raczej zwiększającym się stopniem narastającego tragizmu (nie mylić z tzw. suspensem, bo nie o to chodzi). Dodajmy, że rzecz dzieje się (w ten sposób) w czasie podwójnej okupacji po 1939 roku, w Warszawie, w miastach kresowych, w Krakowie, a także na prowincji (w leśniczówce i gdzie indziej), a chodzi w głównym nurcie o „portret” pokolenia Polski walczącej. Próżno by jednak szukać jakichś scen zbiorowych, jakichś walk, to jest zdecydowanie portret wewnętrzny, zindywidualizowany, oparty na kilku postaciach i relacjach między nimi, obraz postawy i losu polskiego, jego psychologii i wyrazu społecznego, co sprawia, że rzecz jest zarazem lokalna i uniwersalna.

Pisarz w naturalny sposób wtapia w tę powieść scenę rozgrywającą się między Mościckim, Śmigłym i Beckiem, na moment przed przekroczeniem granicy Polski we

wrześniu 1939 roku, dążąc do sprawiedliwego werdyktu i dostrzegając zarazem jedyny w swoim rodzaju dramat tych postaci. Charakterystyczne, że ocena Śmigłego wypada mniej surowo niż ocena Becka, przy czym nie chodzi naturalnie o jego słynne przemówienie sejmowe, lecz o zachowanie podczas kampanii wrześniowej. Książkę wieńczy tragiczna scena palenia munduru, w symboliczny sposób ukazująca dyferencję postaw, a zarazem jak gdyby przekazująca treść ostatniego rozkazu gen. Leopolda Okulickiego rozwiązującego Armię Krajową, mimo że w książce nie ma o tym mowy.

Tuż po wznowieniu powieści w 2002 roku napisałem, że jest to arcydzieło polskiej prozy współczesnej; po ponownej lekturze potwierdzam to w całej rozciągłości, jakkolwiek nie umiem (jak widzę) tego udowodnić. Ale czy można w ogóle dowieść, że jakiś utwór jest arcydziełem? To się po prostu wie.

W powieści jest także interesujący wątek żydowski, krawca Cyngielbluma; jego wzruszająca troska o chudnącego stale bohatera więcej mówi o stosunkach między obu narodami przed wojną, niż wszystkie oskarżenia o pogromy (to raczej specjalność rosyjska) i antysemityzm. Stach jest bezradny, jeśli chodzi o ratowanie Cyngielbluma i jego rodziny z getta, gdzie go znajduje i gdzie dowiaduje się, jaki krawcowi przyśnił się sen: oto – opowiada – jestem przed wojną na Krochmalnej i widzę napis: Precz z Żydami! – Czy ty możesz to zrozumieć?! – zwraca się do żony. – Tylko napis!

Poeta

Dysponujemy jedynie niespełna osiemdziesięciostronicowym tomikiem, zatytułowanym charakterystycznie „Trochę wierszy” (wyd. w 1997 roku). Wierszy, które autor zaczął pisać dopiero po pięćdziesiątce, zadziwiając nie tylko ś.p. ks. prof. Janusza Pasierba, który napisał w jednym z listów do autora, że dziwi się, iż chce mu się pisać wiersze, gdy ma tak świetną prozę (miał na myśli właśnie „Ostatnią twarz portretu”). Jak większość wydań Narbutta, wiersze te przeszły również bez echa, co wystawia jedynie złe świadectwo zwiędłej w Polsce po 1989 roku krytyce literackiej. Są one bowiem znacznie mniej skromne w swej poetyckiej skali i wartości niż tytuł tomiku. Ich specyfiką jest – *sit venia verbo* – rozumność, powściągliwość, ukrywanie ważnych czy nawet wielkich znaczeń pod przykrywką zdawałoby się zwykłych i

skromnych słów, jest tutaj ton osobisty i ton obywatelski. Są świadome nawiązania do Norwida (*Byłem u Ciebie w te dni bardzo czarne* – „Pużak”) i może mniej świadome przetworzenia poetyki Norwidowskiej. Są wiersze krótkie, zwarte, jak jedno rozświecenie mroku, i są poematy, jak np. „Michał Anioł siedem razy” czy „W dawnym stylu”. Jest to poezja, której się nie czyta, lecz z którą się obcuje, wracając wielokrotnie do poszczególnych wierszy, by odkrywać na nowo ich treść i własną Narbuttową formę, bez której ta treść nie byłaby tym, czym jest. I jest w nich cały ten nietradycyjny tradycjonalista, jak w wierszu „Pomnik Powstania Warszawskiego”, nawiązującym, oczywiście, do Borowskiego, ale w całkowitym sprzeciwie wobec jego przeświadczeń:

Zostanie po nas miasto gruzów

i barykada z naszych ciał,

zostanie po nas kpina głupców,

płacz matek i litania skarg

i pozostanie niepodległa

miłość wolności – i ta jedna

urośnie w pomnik, w krzyk kamienny,

co zerwie naród, aby wstał

i by zrozumiał jaki cenny

był nasz rozumny szal.

Miłośnicy czystej, osobistej liryki też nie powinni być zawiedzeni, choć przeważa, jak to u Narbutta, poezja odpowiedzialnej walki o imponderabilia, w stylu *Patrz na usta relatywistom, ich język, to wieża Babel (...)* Odpowiednie daje rzeczy słowo.

Kiedy jesteśmy przy poezji, trzeba też wspomnieć o „Czarnym królu”, wierszowanej dwuaktówce zamieszczonej w tomie „Benefis”, napisanej językiem z epoki Jana

Chryzostoma Paska, w której wszakże chodzi o sprawy ważne również dzisiaj, m.in. o kwestie władzy i zróżnicowanego do niej stosunku Polaków, z czego wynikało w historii i może nadal wynika sporo nieszczęść. Niestety, rzecz sceniczna, barwna, kostiumowa idealnie nadająca się do Teatru Telewizji, nie znalazła uznania w oczach jego kierownictwa, zezującego na reklamodawców. To oni dziś określają jakość telewizji, zwanej publiczną chyba tylko z przyzwyczajenia.

Eseista i publicysta

Napisałem: wielki zamilczany. A nie napisałem: dlaczego. Wyjaśnienie tego zjawiska jest niemalże takie samo, jak w przypadku książek publicystycznych Waldemara Łysiaka, które są czytane powszechnie, lecz ignorowane przez kręgi opiniotwórcze w polskojęzycznych (a niekoniecznie polskich) mediach. I wyjaśnienie to można znaleźć w licznych książkach Jerzego Narbutta zawierających eseje literackie i artykuły publicystyczne, przedtem drukowane w czasopismach. Z tym, że o ile książki Łysiaka, o których mowa, są najczęściej ostrymi pamfletami (zawierającymi zresztą wiele prawd niepoprawnych politycznie), co zapewnia im poczytność mimo braku promocji, to eseje i publicystyka Narbutta jest wchodzeniem w poważny spór nie tylko z ideowymi przeciwnikami, lecz czasem z reprezentantami tego samego światopoglądu, w których postawie jednak czy w pracach autor dostrzega niebezpieczne zaniechania, zamazania, dysproporcje itp. Dla siebie - Narbutta jako myśliciela, ucznia znakomitego „Tatara” (prof. Władysława Tatarkiewicza, którego sam sobie wybrał na mistrza), eseistę i publicystę (z konieczności łączę te dwie formy, choć należałoby je omawiać osobno) - nazywam „strażnikiem ładu moralnego”. A można by do tego dodać także ład estetyczny, ład psychologiczny, społeczny i kilka innych postaci ładu, z których pewni ludzie (szczególnie lewica i liberałowie, a także kosmopolici) niekiedy rezygnują, na rzecz bałaganu (np. myślowego, w którym buszują schematy i stereotypy), różnego rodzaju zaniedbań, dysproporcji, braku rozróżnień itp. Autor jasnymi słowami zwalcza wszelką sub- i kontrkulturę, na rzecz kultury *tout court*, wszelkie sitwy i koterie, jako narośla rakowate na ciele danej społeczności, irenizm i dynamiczny fanatyzm (raczej lewicowy niż prawicowy, choć endecji nie znosi, a kocha i ceni Piłsudskiego), występuje przeciw wszelkiej sztucznej poprawności na rzecz prawdy i prawdziwości,

jest jednoznacznym niepodległościowcem i uważa jak Jan Paweł II, że wolność jest zadaniem.

W pewnym momencie zarzucił pisanie prozy literackiej na rzecz prozy dyskursywnej, walczącej o to, co nazywa się właściwym porządkiem rzeczy. To znaczy takim, w którym jest miejsce na tradycję, na to, co w niej najcenniejsze, gdzie króluje prawda i miłość, a nie interes i hucpa. Sztuka przetrwa („pieśń ujdzie cało”) – rozumował, a różne ważne imponderabilia wymagają obrony, gdyż od pewnego czasu najlepiej na świecie mają się wieczni rewolucjoniści, którzy uważają, że wszystko polega na zmianie, podczas gdy warunkiem trwania człowieka jest właśnie niezmiennosc ładu świata. Oni są niebezpieczni, a jeszcze bardziej niebezpieczni są ci, którzy mimowiednie ich wspierają lub im się nie sprzeciwiają. Naturalnie, nie znaczy to, że każda zmiana jest zła. Ale nie może naruszać podstaw.

Styl tej logomachii jest niesłychanie czysty, krystaliczny, rozróżnienia, zachowywanie proporcji, precyzja określeń – wzorcowe, jak gdyby autor pokazywał w swojej stylistyce to właśnie, o co mu chodzi, żeby było u innych. Można się w jakimś szczególe z nim nie zgadzać, ale tej czystości i precyzji dowodzenia i perswadowania odmówić mu niepodobna.

Nikommu nie trzeba tłumaczyć, że taki pisarz, który nie tylko „atakuje” krytycznym słowem komunę, ludzi pokroju Kuronia czy Michnika, ale także Pascala za sprzyjanie jansenizmowi, czy ś.p. ks. Bronisława Bozowskiego za to m.in., że jak mawiał miał 1500 przyjaciół (!), w ujęciu miłośników poprawności politycznej, jest niebezpiecznym przeciwnikiem, którego najlepiej zamilczeć. I tak się stało.

Tym bardziej, że Narbutt ma jeszcze jedną wadę: czysty życiorys, nigdy nie dał się uwieść PRL-owskiemu „powabom”, od 1945 roku świadomie uczestnicząc we „froncie odmowy” (który sam sobie wymyślił, bo niestety frontu jako takiego nie było, tylko pojedyncze przyczółki: Herbert, Narbutt, Jerzy Braun, Grzędziński i może dwóch-trzech jeszcze). A tego dzisiaj w Polsce i na świecie się nie wybaczają. Dlatego debiutował dopiero sporo po trzydziestce, nie skalał się też pisaniami do prasy PAX-owskiej. Pisał:

Mam tylko gołe ciało moje i to życie w prawdzie

*co nie ułatwia życia. To życie w prawdzie,
z którego się natrzęsają, szturchając się łokciami
i zwą mnie ironicznie: „Nasz książkę niezłomny...”*

Rzecz jasna, taka postawa ma swoją cenę, w przypadku Narbutta jest to, jak sam napisał, wyrzucenie na brzeg życia, a ponadto skrajne ubóstwo, życie przez wiele lat w nie ogrzewanej norze i zwyczajny, wstrętny, niepokonany głód. I kompletna niemal cisza nad jego książkami. Ale Księciem Niezłomnym jest bez ironii i autoironii, Księciem słowa, mówiącego prawdę z miłością (lub przynajmniej z wyrozumiałością, której nie ma tylko dla występnych), słowa, które jest jak czyn. To najwyższa miara.

Ramka

Jerzy Narbutt urodził się w Warszawie 12 października 1925 roku. Wywodzi się z rodziny ziemiańskiej z Kresów północno wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Jego dziad Ferdynand był uczestnikiem Powstania Styczniowego, a ojciec Antoni reaktywował na krótko i był redaktorem naczelnym Lelewelowskiego jeszcze „Tygodnika Wileńskiego” (przed wybuchem I Wojny Światowej). W rodzinie matki, Stanisławy z książąt Glińskich, było kilku literatów i publicystów. Rodzinne gniazdo Narbutta to Szyrwinty, majątek ziemski po stronie Litwy Kowieńskiej. Świadectwa rodzinne z Kresów i jeden wakacyjny pobyt w okolicach Kostopolu zadecydowały o kresowej tematyce wielu jego utworów literackich. Większość życia spędził w Warszawie, gdzie przeżył i Wrzesień 1939 roku i Powstanie Warszawskie. Zaprzyjaźniony z młodymi uczestnikami konspiracji (m. in. z Tadeuszem Zawadzkim – „Zośką”), sam nie mógł uczestniczyć w walce z powodu słabego zdrowia (nazywa siebie „zdechlakiem”).

Przypisywane mu niekiedy w biogramach uczestnictwo w Szarych Szeregach i w walkach powstańczych nie jest więc prawdą, co sam wielokroć prostował. Po 1945 roku przez sześć lat ukrywał się, zagrożony poborem do ludowego wojska (orzeczono, że jest zdolny do służby, mimo chorób trapiących go od dzieciństwa). Wreszcie aresztowany i osadzony w więzieniu, wychodzi dzięki amnestii. Debiutuje

dopiero w 1957 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego”, którego kierownictwo i większość zespołu nie akceptuje go z powodu poglądów, patriotyzmu i ewangelicznego radykalizmu (m.in. stale musiał występować w obronie krytykowanego przez nich Prymasa Tysiąclecia). Współpraca, w związku z tym nader kulawa, trwa kilkanaście lat. Studiuje (najpierw po wojnie, potem po 1956 roku) jako wolny słuchacz u prof. Władysława Tatarkiewicza, jest najlepszym recenzentem jego fundamentalnej książki „O szczęściu”, Profesor wyróżnia go przyjaźnią, aż do swej śmierci. Prześladowany za działalność opozycyjną, w grudniu 1975 r. objęty zostaje zakazem druku, powodem bezpośrednim stało się podpisanie przezeń „listu 59-ciu”, przeciwko zmianom w Konstytucji. Publikuje w pismach drugiego obiegu takich jak „Zapis”, a poza tym w „Spotkaniach”, „Opinii” i „Rzeczpospolitej”. Członek Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania Zbigniewa i Zofii Romaszewskich przy NSZZ Solidarność. Autor tekstu hymnu Solidarności. W latach stanu wojennego ponownie ukrywa się, tym razem przed internowaniem, m.in. w klasztorach w Serpelicach i Lubartowie. Członek dawnego ZLP, a obecnie SPP i P.E.N. Clubu. Od 1988 r. publikuje felietony i eseje w „Ładzie” (aż do jego upadku w 1994 r.), w „Naszej Polsce” (do 1999) i w „Tygodniku Solidarność”. Jest laureatem nagrody im. Leszka Proroka, nagrody m.st. Warszawy, posiadaczem lauru poetyckiego „Białego Pióra” w Płocku, nagrody specjalnej ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Zamrł w 2011 roku w Warszawie.

Książki (poza już wymienionymi w tekście): „Uciec z wieży Babel” (Arcana, Kraków 1999), „Awantury polemiczne” (2000), „Od Kraszewskiego do Parnickiego” (2000) „Spory o słowa, spory o rzeczy (2001)”, „Dwa bunty” (2003) i „Wyrzucony na brzeg życia” (2005). Wszystkie pięć wydane przez „Unię” w Katowicach, ostatnia z inicjatywy prof. dr. Ryszarda Szawłowskiego. Przedtem wydał ponadto: „List nie wysłany pocztą” (1975), „Sól ziemi” (1980), „Nasz jest ten dzień” (1981), „Druga twarz portretu” (1982), „Z ziemi polskiej, z ziemi włoskiej” (1983), „Szkice historyczne” (1984).

**„Powrót Norwida” z okazji
Jubileuszu Kazimierza Brauna.**

Kazimierz Braun

Powrót Morwida



reżyseria:

Kazimierz Braun i Tomasz A. Żak

TEATR NIE TERAŻ

Tarnów, Ratusz, 22 i 23 października godz. 18.00

Projekt współfinansowany przez Narodowe Centrum Kultury



AKCENT STUDIO
DESIGN & PRODUCTION



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

„Powrót Norwida” to zaskakująca opowieść o starym umierającym człowieku, odnalezionym w jakimś miejskim zaułku. Wszystko wskazuje, że utracił pamięć, choć z uporem twierdzi, że nazywa się Norwid – Cyprian Kamil Norwid. Ale przecież ten Norwid umarł w przytułku w Paryżu w roku 1883? Ten dziwny człowiek trafia do hospicjum, a policja zajmuje się ustaleniem jego tożsamości...

„Powrót Norwida” to wyprawa w świat prawdziwie romantyczny i polski, gdzie miłość znaczy miłość, a honor wyklucza zdradę. Umieszczony w hospicjum człowiek pamięta wszystko, a siła jego wspomnień jest tak wielka, że zmienia rzeczywistość. To trochę tak, jakby z namalowanego obrazu schodzili do nas żywi ludzie, by potem zabrać nas ze sobą na drugą stronę.

Ten spektakl to również bolesna diagnoza polskiej emigracji, wymuszanej od pokoleń głupotą rządzących czy okupacjami, brakiem wolności, ale także zwykłą biedą. W ten sposób wciąż jesteśmy pozbawiani najwartościowszych ludzi, w tym twórców i artystów. I kiedy w końcu do nas wracają, to najczęściej w trumnach, bywa, że ekshumowani po latach. Ale ci – można powiedzieć – mają i tak szczęście, którego zabrakło Norwidowi, bo on nie ma nawet swego grobu.

„Powrót Norwida” został zrealizowany przez pozainstytucjonalny Teatr Nie Teraz w adaptacji jego dyrektora, Tomasza A. Żaka. TNT to jeden z teatrów nurtu alternatywnego, znany ze swych inscenizacji odwołujących się do tradycji narodowych, patriotycznych oraz do chrześcijańskich korzeni Europy (np. „Niewierni” wg Calderona de la Barca, autorskie „Ballada o Wołyniu” i „Wyklęci” czy „Dzień gniewu” Romana Brandstaettera).

Spektakl reżyserują – Kazimierz Braun i Tomasz A. Żak, a premiera odbyła się 22 i 23 października 2016 r. w renesansowych wnętrzach staromiejskiego Ratusza w Tarnowie.

Przedstawienie zostało wystawione z okazji przypadającego w 2016 roku potrójnego jubileuszu Kazimierza Brauna – 80-lecia urodzin, 55-lecia pracy teatralnej i 45-lecia

pracy akademickiej.

Kazimierz Braun rodzinnie i emocjonalnie jest związany z Tarnowem. Tu mieszkał jego ojciec Juliusz, tu działał jego stryj Jerzy (autor słynnej harcerskiej pieśni „Płonie ognisko w lesie”), którego imię nosi tarnowskie Gimnazjum nr 4. Marzeniem prof. Brauna było więc swój jubileusz obchodzić właśnie w Tarnowie. Ze względu na związki z Tarnowem otrzyma on honorowe obywatelstwo miasta Tarnowa.

Kazimierz Braun jest wybitnym znawcą twórczości Cypriana Kamila Norwida. Swoją drogę teatralną rozpoczął od napisania pracy dyplomowej pt. „Koncepcja teatru Norwida”. Jest też najważniejszym inscenizatorem norwidowskich dzieł, zarówno na scenie klasycznej, jak i w teatrze telewizji. O teatralnych pracach odwołujących się do twórczości „czwartego wieszca” napisał książkę „Mój teatr Norwida”.

Na podstawie: *Tarnów. Premiera „Powrotu Norwida” w Teatrze Nie Teraz*,
www.teatrdlawas.pl